środa, 25 września 2024 NR 202 (18012)

Sport

Ukazuje się od 1945 roku

Mali kopią wielkich





Fot. Norbert Barczyk/PressFocus

Jakub Wilczyński wszedł na boisko w przerwie i strzelił dwa gole dla Sandecji.

Sensacyjny początek!

Już w pierwszym meczu 1/32 finału Pucharu Polski drużyna z czwartego poziomu rozgrywkowego wyeliminowała wicelidera ekstraklasy.

Sandecja Nowy Sącz wyeliminowała Cracovię. Lider grupy czwartej III ligi w tym sezonie jeszcze nie przegrał. Do serii 10 meczów w lidze dołożył sensacyjne rozstrzygnięcie w pucharze.

Nieskuteczny Bochnak

Na początku po rzucie rożnym piłka spadła pod nogi Przemysława Skałeckiego, który z kilku metrów uderzył w poprzeczkę. Cracovia odpowiedziała, ale nie od razu. Arttu Hoskonen niewiele pomylił się przy strzale głową, ale lepszą okazję miał Mateusz Bochnak. Podaniem po ziemi akcję napędził Benjamin Kallman, następnie Bochnak minął rywala, ale kopnął tak, że piłkę dał radę odbić na rzutrożny Martin Polaczek, ostoja gospodarzy w tej rywalizacji. Stałe fragmenty były mocną bronią gospodarzy. Kolejne zagrożenie stworzyli po krótko rozegranym rzucie wolnym. W zamieszaniu w polu karnym najbliżej piłki znalazł się Jakub Sangowski, przyjął ją lewą stopą, przełożył na prawą i chybił.

Mecz był rozgrywany bez udziału kibiców, ponieważ nowy stadion w Nowym Sączu nie został jeszcze oddany do użytku. Było więc słychać podpowiedzi trenerów i piłkarzy, a czasem także... trzeszczenie kości. „Pasy" nie mogły złapać odpowiedniego rytmu i zepchnąć drużyny z czwartego poziomu do głębokiej defensywy. Czasem zdarzały się jej błędy, dlatego przed przerwą znów oko w oko z bramkarzem stanął Bochnak, ale i tym razem górą był bramkarz.

Nie dali za wygraną!

W przerwie trener krakowian zdjął z boiska Filipa Rózgę, który pod koniec pierwszej połowy o mało co nie wyleciał z boiska. Miał na koncie żółtą kartkę i faulem przerwał atak rywali. Sędzia go oszczędził, co wywołało głośne protesty gospodarzy. Na początku drugiej części debiutujący w krakowskiej drużynie bramkarz Jakub Burek przestraszył się nadbiegającego napastnika i tak zagrał, że prawie strzelił bramkę... samobójczą. Kilka minut później piłkę w siatce umieścił rezerwowy Jakub Wilczyński. Cracovia przegrała walkę w środku pola, Wilczyński wymienił piłkę z Rafałem Wolsztyńskim, a następnie minął Hoskonena i z bliska uderzył. Sensacja wisiała w powietrzu, więc szkoleniowiec Cracovii zaczął wprowadzać podstawowych graczy. Napór gości trwał, ale długo byli oni bardzo nieskuteczni. W końcu zmiennicy przyczynili się do tego, że przedstawiciel ekstraklasy wyszedł na prowadzenie. Po dośrodkowaniu Mikkela Maigaarda wyrównał niezawodny w tym sezonie Virgil Ghita, a potem David Olafsson wywalczył piłkę na lewej stronie i podał do Kallmana, który asystował Hasiciowi.

Wydawało się, że faworyt nie przegra już tego meczu, ale dwa kolejne gole strzelili gospodarze! W doliczonych minutach Piotr Kowalik wyrównał po rzucie rożnym, a potem miał na głowie piłkę meczową. Dogrywka była wyrównana, nie było widać różnicy klas. W 117 minucie po wrzutce Petera Kolesara po raz drugi trafił Wilczyński i utonął w objęcia kolegów! Sensacja w Nowym Sączu stała się faktem.

Pożegnanie Lechii

Do dużej niespodzianki doszło też w innym rozegranym wczesnym popołudniem starciu, gdzie wicelider II ligi Pogoń Grodzisk Mazowiecki podejmowała Lechię Gdańsk. Beniaminek ekstraklasy nie dał rady i w rzutach karnych pożegnał się z rozgrywkami.

Michał Knura

Sandecja Nowy Sącz – Cracovia 3:2 po dogr. (0:0, 2:2, 2:2)
1:0 – Wilczyński, 56 min, 1:1 – Ghita, 81 min (głową), 1:2 – Hasić, 85 min, 2:2 – Kowalik, 90+3 min (głową), 3:2 – Wilczyński, 117 min
SANDECJA: Polaczek – Kowalik, Słaby Rutkowski – Bryła (90. Kolesar), Skałecki, Sangowski (46. Wilczyński), Kotbon (87. Pieczarka), Nawotka, Pietraszkiewicz (46. Kłos) – Wolsztyński (78. Peciak). Trener Łukasz MIERZEJEWSKI.
CRACOVIA: Burek – Hoskonen, Ghita, Skovgaard – Janasik (59. Kakabadze), Al-Ammari, Atanasov (69. Sokołowski), Biedrzycki (59. Olafsson) – Bochank (59. Maigaard), Rózga (46. Hasić) – Kallman. **Trener** Dawid KROCZEK.
Sędziował Patryk Świerczek (Brzesko). Mecz bez udziału publiczności.
Żółte kartki: Kotbon, Wolsztyński, Skałecki, Kłos, Wilczyński, Polaczek – Rózga, Kakabadze, Maigaard, Sokołowski. Al-Ammari.

Zgodnie z planem

Odra Opole bez problemów odprawiła czwartoligowe rezerwy Podbeskidzia i zameldowała się w 1/16 finału Pucharu Polski.

Mecz rozegrany został na kameralnym stadionie w Wapienicy, dzielnicy Bielska-Białej. Czwartoligowy zespół na szczebel centralny rozgrywek o Puchar Polski awansowały dzięki wygraniu zmagań na poziomie wojewódzkim, ale w tym sezonie rezerwy dalekie są od formy z zeszłego sezonu, gdy do końca rozgrywek walczyły o awans.

Spora różnica

Dwójka „Górali" w ligowej tabeli zajmuje dopiero trzecią pozycję od końca i na swoim koncie ma zaledwie siedem punktów. Nic dziwnego, że Radosław Sobolewski w starciu z niżej notowanym rywalem dał odpocząć między innymi Adrianowi Łyszczarzowi, Maksymilianowi Banaszewskiemu, a między słupkami po raz pierwszy w tym sezonie pojawił się Józef Burta.

Goście od pierwszych minut spotkania ruszyli do ataku i już w 9 minucie zdołali pokonać Maksymiliana Manikowskiego. Świetne podanie z linii obrony otrzymał wybiegający na czystą pozycję Jordan Dominguez, którego strzał z pierwszej piłki znalazł drogę do siatki. Po kilku minutach przewagi Odry do głosu zaczęli dochodzić piłkarze rezerw Podbeskidzia, którzy w ciągu kilku minut wypracowali sobie dwie dobre sytuacje bramkowe. Najpierw w 15 minucie pressing Michała Studnickiego i Bartosza Martosza zaowocował odbiorem piłki na połowie rywala, a młody napastnik gospodarzy błyskawicznie znalazł się w sytuacji sam na sam z bramkarzem, ale fatalnie spudłował. Cztery minuty później kolejny dobry odbiór sprokurował akcję, po której strzał na bramkę Burty oddał Studnicki. Bramkarz gości zdołał sparować piłkę na rzut rożny.

Samobójcze trafienie

Po fragmencie znacznie lepszej gry gospodarzy z biegiem czasu do głosu znów zaczęli dochodzić piłkarze z Opola. Sygnałem ostrzegawczym był oddany w 35 minucie strzał Dawida Wolnego, obroniony jednak przez Manikowskiego. Minutę później bramkarz rezerw Podbeskidzia skapitulował po dośrodkowaniu z rzutu rożnego i główce Mateusza Kamińskiego. Kolejny gol padł w 38 minucie, gdy prowadzenie pierwszoligowca podwyższył Szymon Szkliński, który po przechwycie Odry i prostopadłym podaniu Wolnego, znalazł się sam na sam z bramkarzem.

Po zmianie stron w 57 minucie goście zdobyli czwartego gola, gdy po dograniu z bocznego sektora piłka minęła linię obrony, a do siatki po raz drugi tego dnia trafił Szkliński. To trafienie wyraźnie podcięło skrzydła piłkarzom bielskiego klubu, którzy dali sobie strzelić, a właściwie sami strzelili sobie piątego gola, bo na trzy minuty przed końcem do własnej bramki trafił Bartosz Czupryński. Na tym skończyła się piękna przygoda bielskiej „dwójki" w pucharowych zmaganiach.

(gru)

Podbeskidzie Bielsko-Biała II - Odra Opole 0:5 (0:3)
0:1 - Dominguez, 9 min, **0:2** - Kamiński, 36 min (głową), **0:3** - Szkliński, 38 min, **0:4** – Szkliński, 57 min, **0:5** - Czupryński, 87 min (samobójcza)
PODBESKIDZIE II: Manikowski - Gancarczyk, Piecuch (79. Iwański), Pa. Szumiński (68. Biskup), Świta, Szatanik (79. Harężlak) - Felsch, Pi. Szumiński, Waśko (62. Czupryński) - Martosz, Studnicki (46. Twardosz). **Trener** Wojciech FLUDER.
ODRA: Burta - Prikryl (46. Nowak), Piroch (61. Wollny), Kamiński (46. Bartosz), Błyszko, Szrek (62. Sikorski) - Szkliński, Dominguez, Purzycki (46. Łyszczarz), Dudziński - Wolny. **Trener** Radosław SOBOLEWSKI.
Sędziował Paweł Pskit (Łódź). **Widzów** 250. **Żółta kartka** Studnicki.



Fot. odraopole.pl

18-letni wychowanek Rodła Opole Szymon Szliński (nr 77) zdobył we wtorkowym meczu dwie bramki.

Sport 947512eaad

Pierwsza porażka Bruk-Betu

Ktoś w końcu pokonał niecieczan. W 1/32 finału Pucharu Polski zrobił to GKS Katowice.



Fot. PAP/Łukasz Gągulski

Jakub Antczak (z prawej) zdobył pierwszego gola w barwach GieKSy.

W poprzednim sezonie przygoda GKS-u Katowice w Pucharze Polski zakończyła się błyskawicznie. Już w 1/32 finału podopieczni trenera Rafała Góraka ulegli Górnikowi Zabrze (0:4) i tym samym pożegnali się z rozgrywkami. Ta sytuacja miała się nie powtórzyć w bieżących rozgrywkach, choć losowanie nie było łaskawe dla katowiczan. W końcu w pierwszej rundzie trafili oni na lidera I ligi, który w tym sezonie jeszcze nie przegrał. Mimo tego szkoleniowiec GKS-u zdecydował się na wystawienie eksperymentalnego składu. Dał szansę piłkarzom, którzy w tym sezonie pełnili głównie funkcje rezerwowych. Z optymalnej pierwszej jedenastki w Niecieczy od pierwszej minuty zagrali tylko Lukas Klemenz i Mateusz Kowalczyk. Tym samym swój debiut w zespole zaliczył bramkarz Rafał Strączek.

Osłabieni od startu

Jak się okazało, golkiper odegrał bardzo ważną rolę. W 13 minucie posłał dalekie podanie pod pole karne przeciwnika. O piłkę powalczył Mateusz Mak i był na tyle szybki, że zmusił Arkadiusza Kasperkiewicza do faulu. Problem defensora z Niecieczy polegał na tym, że Mak wychodził już na czystą pozycję. Dlatego sędzia Piotr Urban nie miał wątpliwości i pokazał Kasperkiewiczowi czerwoną kartkę. Od tego momentu GieKSa poszukiwała możliwości do zdobycia gola. Co prawda brakowało jej klarownych sytuacji, ale mimo to była w stanie zdobyć pierwszego gola w sporkaniu. Wystarczyło jedno dalekie podanie z autu w wykonaniu Kowalczyka, żeby w polu karnym Bruk-Betu doszło do zamieszania. Obrońcy nie upilnowali wbiegającego w „16" Bartosza Jaroszka (pierwszy występ w sezonie), a ten umieścił piłkę w siatce.

Zmotywowani do ataku

Wydawało się, że grający w przewadze katowiczanie spokojnie „dowiozą" prowadzenie do ostatniego gwizdka. Tymczasem gospodarze jeszcze w pierwszej połowie potrafili odpowiedzieć. Kacper Karasek w 45 minucie dośrodkował piłkę z rzutu wolnego. Zrobił to w taki sposób, że futbolówka zmierzała w stronę bramki. Podania 22-latka nie przeciął żaden z zawodników, co zmyliło Strączka. Bramkarz nie zdążył skutecznie interweniować, a Karasek cieszył się z trafienia.

Gol do szatni był bodźcem motywacyjnym dla ekipy z Niecieczy, która po zmianie stron szukała kolejnych okazji na gola. Trener Brosz zdecydował się na wzmocnienie formacji ofensywnej i od razu po rozpoczęciu drugiej połowy na murawie pojawił się napastnik Andrzej Trubeha, który zastąpił pomocnika Macieja Ambrosiewicza. Roszada przyniosła odpowiedni skutek, bo katowiczanie zostali zepchnięci do defensywy. Napór gospodarzy trwał przez dziesięć minut, ale nie przyniósł gola. GKS w końcu się przebudził i obraz meczu znów stał się bardziej wyrównany.

Ostatni cios

Dzięki temu, że GieKSa znów zaczęła odwiedzać pole karne Adriana Chovana, mogła starać się o strzelenie gola. Zrobił to Jakub Antczak. Skrzydłowy w 66 minucie przyjął piłkę przed polem karnym, minął jednego zawodnika i oddał strzał. Piłka po drodze do bramki odbiła się jeszcze od jednego z defensorów, przez co zmyliła bramkarza Termaliki i GKS znów prowadził jedną bramką. Co ciekawe, gol padł po kilku minutach od wejścia na boisko bardziej ograny w lidze Oskara Repki, Adriana Błąda, Sebastiana Bergiera i Grzegorza Rogali.

Ostatnie minuty należały do ekipy Bruk-Betu. Po raz kolejny, tak jak na początku drugiej połowy, gospodarze potrafili zagrozić Strączkowi i całej defensywie z Katowic. Starania pierwszoligowca poszły na marne – bramkarz GKS-u nie dopuścił do utraty kolejnego gola.

Kacper Janoszka

ZESTAW PAR I RUNDY (1/32 FINAŁU) PUCHARU POLSKI

Środa	
■ Hutnik Kraków – Piast Gliwice	14.30
■ Podhale Nowy Targ – Ruch Chorzów	15.00
■ Avia Świdnik – Polonia Bytom	15.30
■ Concordia Elbląg – Lechia Zielona Góra	15.30
■ Siarka Tarnobrzeg – Star Starachowice	15.30
■ Korona Kielce – Stal Mielec	17.30
■ Chrobry Głogów – Polonia Warszawa	18.00
■ Olimpia Grudziądz – GKS Tychy	18.00
■ Wigry Suwałki – Świt Szczecin	18.00
■ MKS Kluczbork – Unia Swarzędz	18.00
■ Barycz Sułów – Lech Poznań II	18.30
■ Górnik Łęczna – Puszcza Niepołomice	19.00
■ Miedź Legnica – Raków Częstochowa	19.00
■ Stal Stalowa Wola – Arka Gdynia	19.00
■ Chojniczanka Chojnice – Znicz Pruszków	19.30
■ Górnik Zabrze – Radomiak	20.30
Czwartek	
■ Grom Nowy Staw – ŁKS Łódź	12.15
■ Podbeskidzie Bielsko-Biała – Zagłębie Lubin	14.30
■ Resovia – Lech Poznań	17.00
Środa, 2 października	
■ Unia Skierniewice – Motor Lublin	19.00

■ **Bruk-Bet Termalica Nieciecza – GKS Katowice 1:2 (1:1)**
0:1 – Jaroszek, 19 min, 1:1 – Karasek, 45 min, 1:2 – Antczak, 66 min
BRUK-BET: Chovan – Kasperkiewicz, Isik, Spendlhofer – Hilbrycht (74. Zawijski), Ambrosiewicz (46. Trubeha), Dombrowskij, Strzałek (18. Putiwcew), Wolski – Karasek (90+1. Mrozek), Fassbender (74. Zapolnik). Trener Marcin BROSZ.
GKS: Strączek – Jaroszek, Klemenz, Komor – Czerwiński, Milewski, Kowalczyk (61. Repka), Marzec (61. Rogala) – Antczak (90+1. Bród), Mak (61. Bergier), Galan (61. Błąd). Trener Rafał GÓRAK.
Sędziował Piotr Urban (Warszawa).
Żółte kartki: Spendlhofer - Galan, Marzec. **Czerwona kartka** Kasperkiewicz (13. faul).

■ **Wisła Płock – Warta Poznań 0:1 (0:0)**
0:1 – Kocyła , 59 min, samobójcza.
WISŁA: Gradecki - Hiszpański (46. Salvador), Misiak, Szymański (82. Famulak), Endmundsson, Brzozowski - Pomorski, Dani Pacheco (46. Kocyła), Kun (64. Jime) - Sekulski, Krawczyk (73. Borowski). **Trener** Mariusz MISIURA.
WARTA: Przybylak - Bartkowski (46. Szeliga), Pleśnierowicz, Markow - Michalski (46. Przybyłko), Kopczyński (59. Tkaczuk), Shibata, Waluś, Gąska (76. Żurawski), Maćkowiak - Firlej (59. Adamski). **Trener** Piotr KLEPCZAREK.
Sędziował Wojciech Myć (Lublin). **Widzów** 4013. **Żółte kartki:** Kocyła - Shibata, Szeliga, Przybylak, Maćkowiak, Tkaczuk.

■ **ŁKS Łódź II – Kotwica Kołobrzeg 2:3 (0:0)**
0:1 – Rajsel, 47 min, **0:2** – Junior, 48 min, **1:2** – Wzięch, 66 min, **1:3** – Junior, 72 min (karny), **2:3** – Popławski, 90+3 min
ŁKS: Kucharski – Wszołek (75. Tłaczała), Ślęzak, Fałowski, Książek – Grabowski (62. Saganowski), Iwańczyk (62. Pawłowski), Rozwandowicz, Wzięch, Coulibaly (62. Sławiński) – Siwek (82. Popławski). **Trener** Konrad GEREGA.
KOTWICA: Krzepisz – Cadu, Kozajda, Witasik, Kurowski – Kozłowski, Kort, Ramos (46. Biegański), Petrović, Rajsel – Junior. **Trener** Ryszard TARASIEWICZ.
Sędziował Damian Gawęcki (Kielce). **Widzów** 310. **Żółte kartki:** Iwańczyk, Fałowski, Wzięch, Saganowski – Ramos, Kort.

■ **Elana Toruń - Widzew Łódź 1:3 (1:0)**
1:0 - Kuropatwiński, 29 min (karny), **1:1** - Kerk, 65 min, **1:2** - Kwiatkowski, 87 min, **1:3** - Łukowski, 90 min.
ELANA Pawłowski - Kamiński, Korpalski, A. Kowalski, Andrzejewski (59. Hartwich), Karbowiński (85. Raniszewski) - Stawski, Woroniecki, Piskorski (85. Kowalski), Kuropatwiński - Kościelecki (51. Stolc). **Trener** Rafał WIĘCKOWSKI.
WIDZEW: Biegański - Kastrati, Kwiatkowski, Hajrizi (62. Kozlovsky), Silva - Sypek (61. Alvarez), Diliberto (6. Kerk), Hanousek, Łukowski, Klimek (46. Cybulski) - Hamulic (61. Sobol). **Trener** Dawid MYŚLIWIEC.
Sędziował Marcin Szczerbowicz (Olsztyn).
Żółte kartki: A.Kowalski, Korpalski - Biegański.

■ **Pogoń Grodzisk Mazowiecki - Lechia Gdańsk 1:1 (0:1), karne 4-3**
0:1 - D'Arrigo, 50 min, **1:1**- Noiszewski, 90+4. min
POGOŃ: Sydorenko - Apolinarski, Łoś, Gajgier, Skowroński (59. Noiszewski), Niski (66. Niewiadomski) - Korczakowski (59. Jaroń), Dias, Sommerfeld (59. Bahonko), Dzięgielewski (103. Urbański) - Odolak. **Trener** Marcin SASAL.
LECHIA: Sarnawskyj - Piła, Chindriș, Gueho, Kałahur - Sezonienko (67. Carenko), Bułeca (67. Żelizko), Neugebauer (90. Kardaś), Wendt (76. Kapić), D'Arrigo (77. Pllana) - Wjunnyk. **Trener** Szymon GRABOWSKI.
Sędziował Piotr Idzik (Poznań). **Żółte kartki:** Skowroński, Korczakowski, Noiszewski, Jaroń, Odolak - Neugebauer, Bułeca, D'Arrigo, Guého, Sarnawskyj, Kapić.

■ **Stal Rzeszów - Pogoń Szczecin 0:3 (0:1)**
0:1 - Kurzawa, 24 min, **0:2** - Koulouris, 71 min, **0:3** - Biczachczjan, 85 min
STAL: Raciniewski - Warczak, Kaczor, Synoś, Oleksy (75. Gaża) - Plichta (46. Prokić), Łysiak (84. Postupalskyj), Thill, Kądziołka (84.Piotrowski), Wachowiak - Bała (59. Pena). **Trener** Marek ZUB.
POGOŃ: Kamiński - Wahlqvist, Zech, Borges, Koutris - Korczakowski (46. Przyborek), Kurzawa (87. Wojciechowski), Gorgon, Ulvestad (46. Biczachczjan), Grosicki (75. Paryzek) - Koulouris (80. Łukasiak). **Trener** Robert KOLENDOWICZ.
Sędziował Łukasz Kuźma (Białystok).
Żółta kartka Ulvestad.

Sport 947512eaad

Będzie kilka zmian

Przed dzisiejszym pucharowym meczem z Radomiakiem trener Jan Urban zapowiada małą przebudowę zabrzańskiego składu.

GÓRNIK ZABRZE

Ostatnia kolejka w dużej mierze należała do jedenastek z Zabrza i Radomia. „Górnicy" w Śląskim Klasyku rozbili GieKSę 3:0, a Radomiak jeszcze wyżej – w równie prestiżowej Świętej Wojnie – rozbił Koronę aż 4:0.

Czekanie na Janickiego i Bakisa

Bohaterem pierwszego spotkania okazał się Lukas Podolski, zdobywca dwóch bramek. Z kolei najlepszy w starciu w Radomiu był niesamowity Leonardo Rocha, który skompletował hat trick. Czy obu obejrzymy na stadionie imienia Ernesta Pohla? „Poldiego" pewnie nie, bo będzie się szykował na sobotnie starcie z Legią. Za to Portugalczyk być może pojawi się na murawie.

Szkoleniowiec gospodarzy nie narzeka na nadmiar grania. – Terminarz jest taki, a nie inny i trzeba się do niego przystosować – mówi Jan Urban.

– Też nieraz mówiłem, że na wielu pozycjach jest rywalizacja. Różnice między piłkarzami, ich jakością, są minimalne. Będzie okazja do ich sprawdzenia w pucharowej rywalizacji. Mając mecz u siebie w pucharze, musimy go potraktować bardzo poważnie i na pewno go nie odpuścimy – zaznacza szkoleniowiec Górnika.

Po meczu z GKS-em było wiele pytań o nieobecnych Rafała Janickiego i Sinana Bakisa. Ten pierwszy po spotkaniu z katowiczanami krzyknął tylko do dziennikarzy, pytających o jego absencję: „Spytajcie trenera".



Fot. Norbert Barczyk/PressFocus

W lidze w sierpniu lepszy był Górnik. Jak będzie w pucharze? Starcie Aleksandra Buksy i Raphaela Rossiego.

– Bakis był na liście powołanych i w ostatniej chwili zgłosił uraz. Ostatni trening skończył normalnie. Potem zgłosił problem, a w takiej sytuacji nie mogę nikogo na siłę brać. Co do Rafała, to powiem tak: z ostatniego treningu zszedł wcześniej i gdyby to był ostatni mecz w rundzie o stawkę, to by grał. W takiej sytuacji nie chcieliśmy ryzykować, bo przecież w tygodniu gramy trzy mecze – tłumaczy trener Górnika.

Będzie ciekawy mecz

Być może obaj, jeśli będą zdrowi, zagrają nawet od pierwszej minuty. Zmian w Górniku, w porównaniu do składu z soboty desygnowanego na mecz z katowiczanami, i tak będzie zresztą sporo.

– Będziemy musieli dokonać kilku zmian, tym bardziej że chcę widzieć kilku zawodników w akcji, a kiedy to mam zrobić, jak nie w takiej konfrontacji o coś? Rywalizacja na wielu pozycjach trwa. Kamil Lukoszek raz nie grał, teraz znowu jest w składzie. Będziemy szukać najmocniejszego zestawienia. Z Rafałem nie wiem, jak będzie, bo kontuzje mięśniowe mają to do siebie, że jak czujesz, że coś może się przydarzyć, to nie ma co ryzykować. A jak powie, że jest gotowy, to zagra. Z Bakisem też do końca nie wiem. Niby drobny uraz, ale zobaczymy. Chcę, żeby był, bo chcę go wprowadzać do grania. Z drugiej strony, proszę też pamiętać, że nasza kadra nie jest znowu aż bardzo szeroka– przypomina trener Urban.

W bramce z pewnością szansę dostanie Filip Majchrowicz, obecnie numer 2 w Górniku. W tyłach pewniakiem do gry od początku jest doświadczony Paweł Olkowski, który dobrze pokazuje się i w lidze, i w sparingach. W dłuższym wymiarze czasowym powinni też zagrać tacy piłkarze jak Lukas Ambros, dynamiczny pomocnik Yosuke Furukawa czy Nikodem Zielonka. Okazję do dłuższej gry otrzyma też pewnie Aleksander Buksa i ktoś z młodych graczy jak przykładowo uzdolniony Aleksander Tobolik.

– Czeka nas trudne spotkanie, bo Radomiak pokazał, że potrafi grać i w takim meczu jak ten w środę w Pucharze Polski na pewno nie odpuści. My też nie mamy takiego zamiaru, więc spodziewam się, że będzie dobry mecz – podkreśla trener Urban.

Na koniec przypomnijmy, że oba zespoły rywalizowały już w tym sezonie o coś. W lidze zabrzanie wygrali z Radomiakiem na jego terenie na początku sierpnia 2:1. Bramki zdobywali wtedy rezerwowi Luka Zahović i Norbert Wojtuszek.

Michał Zichlarz

CZY WIESZ, ŻE...

■ To już czwarta konfrontacja w rozgrywkach o Puchar Polski pomiędzy Górnikiem a Radomiakiem. Środowy mecz będzie spotkaniem numer 5. Pierwsza gra w PP miała miejsce w marcu 1983 w 1/8 finału rozgrywek. Zabrzanie rozbili wtedy rywala na jego terenie aż 4:1. Dwie bramki w tym spotkaniu zdobył nieodżałowany Leszek Brzeziński, a po jednym obrońcy – Tadeusz Wolny po strzale głową i Joachim Klemenz. Kolejna rywalizacja odbyła się jesienią 2005 roku w 1/16 finału. Górą byli wtedy grający w drugiej lidze goście, którzy w Zabrzu wygrali po bramce Abela Salami 1:0, a u siebie aż 3:0 po hat tricku tego Nigeryjczyka. Ostatnia konfrontacja w PP odbyła się w środę 22 września 2021. Górnik w I rundzie wygrał wtedy z „Zielonymi" 2:0, a bramki zdobywali David Tosevski, zmieniony potem w drugiej połowie przez Lukasa Podolskiego, oraz Jesus Jimenez.

(zich)

Pazerny mistrz

Po wygranej z Lechią Jagiellonia chce także zdobyć trzy punkty w Lublinie w starciu z beniaminkiem.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK

Wszystko wskazuje na to, że obrońcy mistrzowskiego tytułu z Białegostoku złapali drugi oddech. Podopieczni trenera Adriana Siemieńca w sobotę odwrócili losy meczu z Lechią Gdańsk i wygrywając, po dramatycznym boju 3:2, awansowali na siódme miejsce. Jeżeli dzisiaj w Lublinie w zaległym meczu z Motorem zaksięgują trzy punkty, awansują na najniższy stopień podium i będą oglądali plecy tylko Lecha Poznań i Cracovii.

Gotowi do wyzwań

Obecny dorobek „Jagi" to 15 punktów wywalczony w ośmiu kolejkach. – Ludzie mówią o rezultatach, tymczasem nie wiedzą, co robimy podczas treningów w tygodniu, nie zdają sobie sprawy, jak bardzo chcemy wygrać – powiedział na łamach oficjalnej strony klubowej 34-letni pomocnik, Jesus Imaz. – Jestem w „Jadze" już bardzo długo (siedem lat – przyp. red.), przeżyłem tu wszystko. Grałem o utrzymanie, wygrałem mistrzostwo, wiem, jak ludzie reagują, kiedy nie wygrywamy. Jednak taka presja wygrywania jest dla nas dobra. Potrzebujemy kibiców, ale czasami ich zachowanie jest dla nas rozczarowujące. Wiem, że ta reakcja wynika z ich chęci sięgania po trzy punkty w każdym meczu, ale nie jest to możliwe. Jesteśmy gotowi do nadchodzących wyzwań, przeszliśmy przez pierwszy etap sezonu, wiemy, jak to jest grać tak często. Teraz musimy być znowu przygotowani do grania co trzy dni. Mamy w składzie więcej zawodników, jest miejsce do rotacji. Liczę, że wszystko będzie dobrze, zaczynając od środowego meczu z Motorem Lublin.

– Dawno nie mieliśmy takiego meczu, w którym odwróciliśmy jego losy – stwierdził trener Adrian Siemieniec. – To był test charakteru. Teraz nasza uwaga koncentruje się na środowym meczu z Motorem. Do każdego sukcesu prowadzi kręta i wyboista droga.

Dodatkowy „kop"

– Musimy podejść do tego spotkania z dobrym nastawieniem, nie możemy nastawiać się na proste starcie z beniaminkiem – powiedział przed wyjazdem do Lublina 26-letni skrzydłowy Jagiellonii, Marcin Listkowski. – Trzeba być skoncentrowanym na założeniach, wyjść na boisko i zrobić wszystko, żeby zgarnąć trzy punkty. To z pewnością nie będzie łatwy pojedynek. Każdy mecz jest inny, ale z pewnością żaden nie jest łatwy, o czym bardzo dobrze wiemy. Czy zwycięstwo w ostatnim spotkaniu z Lechią Gdańsk było wymęczone? Cieszy to, że zespół potrafił się podnieść z 1:2 na 3:2 i finalnie dowieźć trzy punkty. Na końcu tylko to się liczy. Znamy rangę najbliższego meczu, wiemy, że nie będzie łatwo, ale podejdziemy do niego tak, jak do każdego innego. Trzy punkty w meczu z Lechią były dla nas bezcenne, to jest dla nas dodatkowy „kop", dodatkowa motywacja. Wiemy, że przed nami wiele meczów, bardzo dużo grania. Ostatni okres nie był taki, jak wszyscy byśmy chcieli. Takie zwycięstwo jak z Lechią jest budujące. Może nie było w wielkim stylu, ale fakt, że udało się wyciągnąć ten rezultat, jest niezwykle ważny. Możemy na tym wiele zyskać. Zarówno piłkarze, jak i sztab są mądrzejsi o zdobyte doświadczenie. Jako zespół jesteśmy na to gotowi. Dla nas granie co trzy dni to fajna sprawa. Po to trenujemy, żeby grać mecze. Kluczowym aspektem będzie regeneracja. Tych spotkań będzie dużo, ale z meczu na mecz musimy właściwe odpoczywać i być odpowiednio przygotowanym.

Gospodarze dzisiejszej potyczki tracą do Jagiellonii sześć punktów, więc w razie wiktorii skrócą ów dystans do trzech „oczek". Poprzedni mecz na własnym boisku podopieczni trenera Mateusza Stolarskiego rozstrzygnęli na swoją korzyść, wygrywając 1:0 z Górnikiem Zabrze.

Bogdan Nather

Sport 947512eaad

Peter Crouch lubi to

Dziesięć lat temu był dobrze zapowiadającym się juniorem AS Monaco. Dziś Leonardo Rocha podbija polską ekstraklasę.

LICZBA DNIA

12

TYLU zagranicznych napastników zdobywało dotąd tytuł króla strzelców polskiej ekstraklasy. Pierwszy był Serb Stanko Svitlica z Legii w sezonie 2002/03.

RADOMIAK

Portugalczyk Leonardo Rocha może ostatnio uchodzić za mutację młota pneumatycznego połączonego z karabinem maszynowym. Rozstrzelał się na boiskach naszej ekstraklasy niczym AK-47. Po dziewięciu kolejkach jest zdecydowanym liderem tabeli strzelców. Wbił dziewięć goli i kolejnych napastników – Mikaela Ishaka z Lecha Poznań i Efthymisa Koulourisa z Pogoni Szczecin – wyprzedza aż do cztery trafienia. W dodatku przed nim jeszcze mecz zaległy ze Śląskiem, który miał się odbyć 4 sierpnia, ale został odwołany na wniosek gospodarzy, grających jeszcze wtedy w europejskich pucharach.



Fot. PressFocus

W tym sezonie blisko dwumetrowy Leonardo Rocha strzelił już dziewięć bramek!

Będzie lepiej niż w Belgii?

Rocha przyciąga uwagę nie tylko ze względu na skuteczność, ale i niecodzienny sposób gry, wynikający z warunków fizycznych. Mierzy bowiem aż 198 cm, przyznacie – bardziej widzielibyśmy go na środku obrony z Romanem Wójcickim w parze niż na klasycznej dziewiątce. Cóż, historia notuje jednak wiele takich przypadków, a drużyny stawiające na Empire State Building w przedniej formacji naprawdę dobrze na tym wychodziły. Peter Crouch potwierdzi!

Napastnik Radomiaka nie wystrzelił wcale w naszej ekstraklasie niczym Sojuz TMA-5 z kosmodromu Bajkonur. Potrzebował czasu na adaptację. Sprowadzony wiosną 2023 roku do końca tamtego sezonu trafił w lidze sześć razy, a przez całe rozgrywki 2023/24 – osiem. Teraz wystrzelił i – choć mamy dopiero końcówkę września – już zdobył więcej goli niż w zeszłym sezonie! Wydaje się, że – jeśli będą omijać go kontuzje i w przerwie zimowej nie zostanie sprzedany zagranicę – jest w stanie poprawić najlepszy indywidualny wynik strzelecki w karierze. W sezonie 2018/19 dla belgijskiego Lommel w 32 ligowych meczach zdobył 19 bramek.

To byłoby oczywiście zbyt oczywiste, gdyby strzelał bramki tylko głową. W obecnym sezonie z tych dziewięciu bramek cztery wbił głową, cztery prawą nogą, a jedną lewą. Jeden z tych goli padł z karnego, a pozostałe z gry.

Bez jego bramek Radomiak w obecnym sezonie zdobyłby pięć punktów mniej. Gdyby nie te gole, podopieczni trenera Bruno Baltazara z dorobkiem zaledwie czterech punktów zajmowaliby miejsce w strefie spadkowej, a tak zajmują obecnie dziesiąte miejsce. Portugalczyk z brazylijskim paszportem w tym sezonie strzela bramkę średnio co 79 minut. Jego dorobek to 64 procent ligowych bramek Radomiaka. Nie strzelał jednak bramek w każdym spotkaniu. Na jego dorobek składają się między innymi dwa dublety w dwóch pierwszych kolejkach oraz hat trick w ostatniej. Radomiak w obecnym sezonie nie zdołał jednak wygrać ani razu bez pomocy gola, czy trafień Rochy.

Warto tym bramkom przyjrzeć się szczegółowo.

Bramka nr 1 – w I kolejce

Na 1:0 z GKS-em Katowice w 24 minucie. Po centrze z prawej strony spod linii końcowej rozpędzonego Peglowa Rocha wyskakuje do piłki i strzałem głową, po koźle, pokonuje Kudłę, który nawet nie próbuje interweniować.

Bramka nr 2 – w I kolejce

Na 2:0 z GKS-em Katowice w 37 minucie. Po rzucie rożnym obrońcy próbują wybić piłkę, ale za krótko. Ta trafia do Rochy, a ten, stojąc tyłem, decyduje się na płaski strzał z obrotu prawą nogą, który zaskakuje Kudłę.

Bramka nr 3 – w II kolejce

Na 1:2 z Jagiellonią Białystok w 52 minucie z karnego. Po faulu sędzia przyznaje jedenastkę. Rocha spokojnie strzela prawą nogą w środek bramki.

Bramka nr 4 - w II kolejce

Na 2:2 z Jagiellonią Białystok w 77 minucie. Po wrzutce z lewej strony i zamieszaniu piłka trafia do Portugalczyka, który sprytnie płaskim strzałem z bliska prawą nogą oszukuje bramkarza.

Bramka nr 5 - w VI kolejce

Na 1:2 z Widzewem Łódź w 45 minucie. Przy dośrodkowaniu z rzutu wolnego wyskakuje najwyżej w polu karnym, a do tego przy jego strzale głową źle interweniuje bramkarz gospodarzy Gikiewicz.

Bramka nr 6 – w VII kolejce

Na 1:0 z Cracovią w 5 minucie. Po mocnym wstrzeleniu z lewej strony przez debiutanta Paulo Henrique z pierwszej piłki płaskim strzałem prawą nogą daje prowadzenie swojej drużynie.

Bramka nr 7 – w VIII kolejce

Na 1:0 z Koroną w 7 minucie: dobiega do rzuconej zza pleców piłki przez Grzesika i ubiega bramkarza gości Dziekońskiego. Dotyka piłki głową, a ułamek sekundy później zostaje niechcący znokautowany przez przymierzającego się do wybicia futbolówki bramkarza. Piłka wpada do bramki, Rocha pada na ziemię. Dochodzi jednak do siebie i kontynuuje grę.

Bramka nr 8 – w VIII kolejce

Na 3:0 z Koroną w 46 minucie: po centrze Grzesika z prawej strony wyskakuje w tłumie piłkarzy i głową umieszcza piłkę w rogu bramki. Wyrównuje w ten sposób rekord klubu: 18 bramek w ekstraklasie wbił wcześniej dla Radomiaka tylko Karol Angielski.

Bramka nr 9 – w VIII kolejce

Na 4:0 z Koroną w 79 minucie po podaniu już w polu karnym wzdłuż linii szesnastki od Zimovskiego oddaje lewą nogą półgórny strzał w róg.

Co będzie dalej?

Jak widać, piłkarz czuje się swobodnie w każdej sytuacji. Najgroźniejszy jest oczywiście po centrze ze skrzydła. Warto również podkreślić jego skuteczność, bo rzadko marnuje sytuacje stuprocentowe. Jeśli już do nich dochodzi, to zazwyczaj jest to jak wyrok dla rywala.

Ciekawe, że skuteczność wcale nie przekłada się na liczbę podejmowanych prób. Więcej celnych strzałów od Portugalczyka w obecnym sezonie wspominany wyżej Ishak, a więcej strzałów w ogóle – Wahan Biczahczjan (3,8 strzału na mecz przy 3,6 Leonardo Rochy).

Czy dostanie szansę zdobycia tytułu króla strzelców polskiej ekstraklasy? Musiałoby to oznaczać, że zagra do końca sezonu, a takiej pewności mieć nie możemy. No, chyba że nastrzela jeszcze tych bramek w rundzie jesiennej i zdobędzie na tyle bezpieczną przewagę, że ci, którzy go gonią, o prześcignięciu będą mogli jedynie pomarzyć.

Pytanie o sprzedaż jest zasadne. Polska liga ma, niestety, to do siebie, że jeśli ktoś się wyróżnia, zwraca na siebie uwagę, to zostaje szybko sprzedawany do zagranicznego klubu. Tak to funkcjonuje – słabsze ligi robią na mocniejsze i tyle. Czy Rocha pójdzie w ślady Angielskiego, który tak wielkie wrażenie zrobił w sezonie 2021/22? Ten piłkarz zajął wtedy czołowe miejsce w klasyfikacji strzelców z dorobkiem 13 bramek i 8 lipca 2022 roku związał się trzyletnim kontaktem z tureckim klubem Sivasspor. W ogóle mu tam nie poszło, w lidze nie strzelił ani jednej bramki, zdążył już dwa razy zmienić klub, dziś występuje na Cyprze.

A może Rocha będzie jak inny klubowy kolega, Pedro Henrique? Ten zeszłej jesieni zdobył dla Radomiaka osiem goli i od razu w przerwie zimowej odszedł do chińskiego Wuhan Three Towns. Tak czy inaczej, piłkarz ma ważny kontrakt do czerwca 2025 roku, więc jeśli ktoś – zachwycony strzeleckimi statystykami – chciałby zawodnika przejąć, będzie musiał wyłożyć pieniądze.

Pewne jest, że Rocha nie będzie miał obaw przed zagranicznym wyjazdem. Wcześniej, już jako junior, grał w czterech (sic!) krajach – Portugalii, Włoszech, Brazylii i Francji. W tej ostatniej w juniorskich drużynach występował z niejakim Kylianem Mbappe. Potem były jeszcze pośledniejsze kluby hiszpańskie i wreszcie liga belgijska, z której zaplecza trafił do polskiej. Nic dziwnego, że wykazując się zdolnościami lingwistycznymi – zna aż pięć języków, w Polsce uczy się szóstego.

Cudzoziemcy rządzą u nas z przodu

Rocha jest dobitnym przykładem, że napastnicy zagraniczni mają największy wkład w dorobek strzelecki naszej ligi. W gronie sześciu najlepszych jak dotąd strzelców, czyli tych, którzy zdobyli w polskiej ekstraklasie cztery lub więcej goli, jest ledwie jeden Polak – Bartosz Kapustka z Legii. To już stała tendencja. Ostatnim polskim królem strzelców był Marcin Robak w sezonie 2016/17, a ostatnim samodzielnym – Kamil Wilczek w sezonie 2014/15. Ostatnia dekada to triumf aż czterech Hiszpanów, Serba, Portugalczyka, Duńczyka i Czecha. Znak czasów...

Paweł Czado

KRÓLOWIE STRZELCÓW POLSKIEJ EKSTRAKLASY OSTATNIEGO DZIESIĘCIOLECIA

2014/15 – Kamil Wilczek (Polska/Piast Gliwice) – 20
2015/16 – Nemanja Nikolić (Serbia/Węgry/Legia Warszawa) – 28
2016/17 – Marco Paixao (Portugalia/Lechia Gdańsk) i Marcin Robak (Polska/Lech Poznań) – 18
2017/18 – Carlitos (Hiszpania/Wisła Kraków) – 24
2018/19 – Igor Angulo (Hiszpania/Górnik Zabrze) – 24
2019/20 – Christian Gytkjaer (Dania/Lech Poznań) – 24
2020/21 – Tomas Pekhart (Czechy/Legia Warszawa) – 22
2021/22 – Ivi Lopez (Hiszpania/Raków Częstochowa) – 20
2022/23 – Marc Gual (Hiszpania/Jagiellonia Białystok) – 16
2023/24 – Erik Exposito (Hiszpania/Śląsk Wrocław) – 19

Sport 947512eaad

Do legendy Ru

Rozmowa z **Tomaszem Foszmańczykiem**, byłym kapitanem Ruchu Chorzów, obecnie dyrektorem sportowym „Niebieskich"

Poniżej przedstawiamy wywiad, jakiego udzielił „Sportowi" popularny „Fosa". W czerwcu rozegrał swój ostatni mecz w karierze, wygrany na Stadionie Śląskim z Cracovią. Od tamtej pory nie udzielił mediom żadnego wywiadu, rzucając się w wir pracy dyrektora sportowego Ruchu. Z tego powodu rozmowę podzieliliśmy na dwie części. Jedna dotyczy kariery piłkarza, druga – pracy dyrektora. Zapraszamy na pierwszą z nich. Kolejna ukaże się w następnym wydaniu „Sportu".



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Pożegnalny mecz z Cracovią wywołał u Tomasza Foszmańczyka mnóstwo emocji i łzy wzruszenia.

Jakie były kulisy pana odejścia na piłkarską emeryturę?

– Zaczęło mi to chodzić po głowie na przestrzeni ostatniej rundy. Widziałem po sobie, że fizycznie każdy następny rok będzie trudniejszy. Chciałem być zapamiętany przez ludzi, kibiców, ale też chłopaków z szatni jako gość, który jest w zespole nie ze względu za zasługi, ale dlatego, że dobrze wygląda i gra w piłkę. Chciałem skończyć teraz i nie być dla nikogo obciążeniem.

To była trudna decyzja? Z jednej strony zamyka się 20-letni rozdział, z drugiej – jak pan wspomniał – fizycznie mógłby być już problem z wykonywaniem zawodu.

– Wiadomo, że sam moment odejścia był przykry i przygnębiający, jednak ogólnie to nie była jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu. Dojrzewałem do niej tak, jak każdy sportowiec. Miałem świadomość, że prędzej czy później to nastąpi. Wiedziałem, co chcę robić po zakończeniu kariery piłkarskiej. Oczywiście nie miałem pewności, że zostanę dyrektorem, ale miałem na siebie plan A, B i C. Jeden z nich teraz wdrażam i dlatego było mi łatwiej.

Jakie to były plany?

– Mogłem być trenerem. Mogłem grać w piłkę na niższym poziomie i łączyć to z trenowaniem. Mogłem być też dyrektorem akademii w Ruchu i pomagać drugiej drużynie. Planów było sporo. Myślałem też nad otworzeniem swojej szkoły treningu, co nadal jest w mojej głowie i może w przyszłości to zrealizuję.

Debiutował pan w seniorskim futbolu jako 17-latek. A jak to się w ogóle stało, że zaczął pan grać w piłkę?

– Tak jak u większości chłopaków tata chciał, żebyśmy z bratem – dwa lata starszym – grali w piłkę. Zaprowadził nas do Polonii Bytom i tam trenowaliśmy. Miałem sześć lat i nie było wtedy mojego rocznika. Trenerem mojego brata była natomiast jedna z legend Polonii, Kazimierz Trampisz. Powiedział mi on, że mogę z nimi zostać, mimo że byłem bardzo niskim chłopakiem. Podobało mu się jednak, jak zaczynam grać w piłkę, jak ją rozumiem, więc zostałem ze starszymi.

„Tata chciał" – bez niego nie byłby pan piłkarzem?

– Myślę, że byłoby ciężko. Tata też był trenerem, ale nie na jakimś wysokim poziomie. Od samego początku piłka była więc obecna w życiu moim i brata.

Do Ruchu trafił pan w wieku 13 lat.

– W Ruchu tworzyli wtedy naprawdę mocny rocznik 1986. Zbierali wyróżniających się chłopaków z regionu i pobliskich klubów. Faktycznie, stworzyli silną drużynę. Razem ze mną z Bytomia przyszli Ariel Lindner, Marian Pogorzałek z Orzecha, Rafał Wawrzyńczok z Piekar, później Mateusz Markiewicz. Jak na ten rocznik to mocne nazwiska. Przełożyło się to na duże sukcesy.

Ludzie z Bytomia chodzą na mecze Ruchu, ale u siebie w mieście – w przeciwieństwie na przykład do Świętochłowic czy Piekar Śląskich – mają mocną markę, jaką jest Polonia Bytom, a są też jeszcze Szombierki. Jak to się stało, że pan akurat został „Niebieski"?

– Wiadomo, że grałem w Bytomiu i kibicowałem Polonii, bo to naturalne. Podawałem tam piłki i nie miałem nic przeciwko temu, jeśli miałbym tam zostać. W Ruchu przedstawiono mi jednak ciekawy projekt zespołu. Byłem też świadomy, że warunki i perspektywy, które panowały wówczas w Chorzowie, to był tak mocny magnes, że poszło to właśnie w tym kierunku.

Z perspektywy czasu może pan spojrzeć na młodego siebie i ocenić, jaki czynnik miał największy wpływ na to, że pana kariera potoczyła się tak, a nie inaczej?

– Coś, co było obecne w czasie całej mojej kariery i przygody z piłką, to to, co zaszczepił we mnie tata, czyli brak marudzenia czy narzekania, kiedy coś się nie udawało albo bolało. Nie było odpuszczania. Gdy z bratem szukaliśmy jakichś wymówek lub narzekaliśmy, że nas coś boli po meczu, to dostawaliśmy burę. Tata nas krótko trzymał i nie pozwalał na narzekanie. To taki nasz śląski gen, który został nam zaszczepiony, mimo że tata nie jest rodowitym Ślązakiem. Fajnie, że miał taki charakter, bo to zostało ze mną do samego końca. Nie pozwalałem, żeby potem w szatni było marudzenie, a jeśli już się pojawiało – to dosłownie na chwilę.

I znów, patrząc z perspektywy czasu i tego, jak się potoczył świat – kim byłby Tomasz Foszmańczyk, gdyby nie został piłkarzem?

– Kiedy zacząłem już grać w piłkę, wiedziałem, że jeśli wydarzyłoby się po drodze coś, co by wymusiło zakończenie kariery, to i tak zostałbym w futbolu. Byłbym pewnie trenerem i został przy zawodowej piłce, tak mi się wydaje. A jeśli nie, to pewnie coś z informatyką, tym bardziej że dzisiaj... to wszystko łączy się z piłką. Napłynął taki trend, że zbiera się i wykorzystuje mnóstwo danych. Myślę, że na pewno bym się w tym odnalazł.

W seniorskiej karierze miał pan 11 klubów, w tym dwa razy Ruch Chorzów. To dość dużo jak na 21 lat kariery. Z czego to wynikało?

– Ciężko powiedzieć. Z kilku klubów odchodziłem z własnej woli, głównie na początku – jak GKS Jastrzębie, Raków Częstochowa, Ruch Radzionków. Nie ze względu na to, że mi się nie podobało, tylko pod względem organizacyjnym te kluby były w kiepskiej formie i ciężko było zostać gdzieś, gdzie przez wiele miesięcy – na przykład w Radzionkowie – nie było płacone. Nikt mnie nie wyrzucał, zmuszała mnie do tego sytuacja. Gdyby odliczyć te drużyny, to wyglądałoby to inaczej. Kilka fajnych lat spędziłem w Termalice, oczywiście też w Chorzowie. Trzeba też wspomnieć o jednej rzeczy. Kiedy jako młody chłopak trafiłem już do seniorskiego zespołu i po trzech latach w Ruchu wiedziałem, że nie będę grał, to nie byłem zawodnikiem, który chce na siłę zostać, grzać ławę i tylko czasami jeździć na mecze. Szukałem swojego miejsca wyłącznie tam, gdzie mogłem grać. Stąd też późniejsze wypożyczenia. To były moje świadome decyzje i myślę, że z perspektywy czasu one się obroniły. Najważniejsze jest to, żeby młody piłkarz występował na dobrym poziomie, nawet jeśli zejdzie ligę niżej. Tak do tego podchodziłem i to mi się sprawdziło.

Żałuje pan jakiegoś wyboru?

– Nie żałuję. Każdy klub coś dał i nauczył. Jeden dał więcej pozytywnego, drugi więcej negatywnego. Sumując to wszystko, niczego nie żałuję.

Wspominał pan kiedyś, że w trakcie kariery kilkakrotnie pukał do drzwi Ruchu, ale te się nie otwierały. Dlaczego?

– Praktycznie za każdym razem, gdy kończyłem gdzieś kontrakt, pierwsze, co robiłem, to prosiłem mojego menadżera, żeby zadzwonił do Chorzowa i spytał, czy byłby jakiś temat. Chciałem tu wrócić i bodajże trzy razy próbowałem. Czemu się nie udało, trzeba pytać tych, którzy wtedy decydowali. Ja się nie obrażałem, szedłem dalej i wiedziałem, że prędzej czy później tutaj trafię.

Zaliczył pan 56 meczów w ekstraklasie. Czuje pan, że mogło być więcej?

– Mam świadomość, że tak. Nie lubię jednak rozpatrywać tego poprzez porównywanie się do kogoś innego. Każdy ma swoją drogę. Wiadomo, że jest wielu piłkarzy, którzy „nabili" więcej meczów. Każdy pracuje na swój sposób. U mnie nie jest to jakaś duża liczba, ale nie narzekam. Grałem w piłkę regularnie przez wiele lat, a nabijanie tylko i wyłącznie spotkań w ekstraklasie nie jest aż tak istotne.

Współpracował pan z wieloma trenerami. Najwięcej meczów rozegrał pod Piotrem Mandryszem, Jarosławem Skrobaczem, Łukaszem Beretą czy Jerzym Brzęczkiem. Czy któryś odcisnął na panu szczególne piętno, przychodzi na myśl jako pierwszy?

– Dużo zrobił dla mnie trener Mandrysz. W końcu zobaczył we mnie zawodnika, który może grać na „dziesiątce" i poruszać się między strefami. Widział, że potrafię to robić. Ściągnął mnie ze skrzydła do środka i to był jeden z najważniejszych momentów, bo w Termalice naprawdę dobrze grałem. Zespół tak samo czerpał z tego korzyści. Jeśli miałbym wymieniać, to pewnie trenera Mandrysza, właśnie za to spojrzenie i decyzje. Wiedziałem, że ciągle... szukał kogoś lepszego (śmiech). Po latach rozmawialiśmy na ten temat, chciał kogoś ściągnąć do wzmocnienia ofensywy, ale zawsze się okazywało, że „Fosa" zostaje w składzie i wcale nie jest tak łatwo go zastąpić. Wspomniałbym też trenera Brzęczka, który dał mi dużą swobodę w graniu. Kiedy u niego grałem, zdobywałem najwięcej bramek.

Słynny okrzyk „z Bogiem i po zwycięstwo" również wziął się od trenera Brzęczka.

– Zgadza się, to również od niego zaczerpnąłem. Ogólnie bardzo pozytywnie wspominam współpracę z nim. Zarówno z trenerem całościowo, ale również do mnie osobiście miał super podejście, mieliśmy znakomite relacje.

Można pana nazwać specjalistą od awansów – Jastrzębie, pośrednio Polonia, Bruk-Bet, trzy razy Ruch...

– Śmialiśmy się, że w sezonie 2006/07 zrobiłem cztery awanse. Jesienią byłem w Polonii, która awansowała do ekstraklasy, wiosną awansowaliśmy z Jastrzębiem na jej zaplecze, a po jakiejś kontuzji zagrałem tam również jeden mecz w rezerwach, które... awansowały do IV ligi. Dodatkowo do najwyższej ligi awansował Ruch, z którego byłem przecież do tych zespołów wypożyczony (śmiech).

Awansować nie udało się w szalonym sezonie 2016/17 I ligi, ale za to –

Sport 947512eaad

uchu mi daleko



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Tomasz Foszmańczyk był jedną z najważniejszych postaci „Niebieskich" w drodze od III ligi do ekstraklasy.

TOMASZ FOSZMAŃCZYK

ur. 7 lutego 1986 r. w Bytomiu
Kariera:
2006 Ruch Chorzów
2006 Polonia Bytom
2007 GKS Jastrzębie
2008-09 Raków
2010-11 Ruch Radzionków
2011-12 Warta Poznań
2012-13 Korona Kielce
2013-16 Termalica Bruk-Bet
2016-18 GKS Katowice
2018 Chojniczanka
2019-2024 Ruch Chorzów

wówczas w barwach GieKSy – zanotował pan najlepszy sezon indywidualny, 9 goli i 5 asyst.

– U trenera Brzęczka czułem się wtedy naprawdę bardzo dobrze. Wykorzystał to, że potrafię grać na „dziesiątce", ale ustawił mnie na skrzydle. Skorzystał z tego, że trener Mandrysz przesunął mnie do środka, przez co grałem takiego „fałszywego skrzydłowego", a Alan Czerwiński biegał po linii i miał bardzo dużo asyst. Fajnie układała się nasza współpraca. Sezon był zwariowany, przez cały czas byliśmy w czubie, ale na sam koniec było mocne rozczarowanie.

Kiedy dołączał pan do Ruchu zimą 2019 roku, nikt nie przypuszczał, jaka historia napisze się w Chorzowie. Czego pan się wtedy spodziewał?

– W ogóle nie spodziewałem się, że spadniemy wtedy do III ligi. Przychodząc tu, wiedziałem, jacy piłkarze są w szatni, był trener Marek Wleciałowski. Jakość była zachowana i stać było zespół na więcej niż bicie się o utrzymanie. Potoczyło się jednak tak źle, że od mojego powrotu wygraliśmy tylko raz, z Rybnikiem u siebie 3:0 i... tyle. Byli dobrzy piłkarze, ale nie było drużyny. Ona zbudowała się dopiero później, w bólach, ale na szczęście się udało.

To wszystko, co działo się wokół Ruchu, różnego rodzaju problemy, nie zniechęcały pana do przyjścia?

– Świadomie podjąłem decyzję, że odchodzę z Chojnic i rozwiązuję kontrakt, żeby pomóc Ruchowi w utrzymaniu. Nie przychodziłem tu tylko na dwa-trzy miesiące, ale z perspektywą pozostania na kolejne sezony. Ambicjonalnie do tego podchodząc, mogłem skorzystać z innych propozycji, ale mimo problemów i tego wszystkiego, co się działo, podświadomie wierzyłem, że Ruch zawsze będzie istniał i że są wokół niego ludzie, którzy nie pozwolą mu upaść.

Często mówi się w piłce o finansach, ale rzadko o tym, że piłkarz to też człowiek, pracownik i ma swoją rodzinę. Jak ona reagowała na zmiany kontraktowe? Bo w Chorzowie doszło do sytuacji, że negocjując nową umowę, zaproponował pan prezesowi Siemianowskiemu... niższą stawkę, niż on przedstawił panu.

– To wychodziło naturalnie. W domu żona rozumiała, do jakiego klubu trafiliśmy i że najlepsze finansowe aspekty mojej kariery są już za nami. Wiedziałem, że aby klub funkcjonował normalnie i stabilnie, żeby obietnice prezesa Siemianowskiego zostały spełnione, to trzeba było iść na jakieś ustępstwa. Mogłem się na to nie godzić – prezes pewnie zorganizowałby to jakoś tak, aby wszystko było na czas – ale chciałem też pomóc i wziąć odpowiedzialność za to, co się działo w Ruchu.

W ekstraklasie „Fosa" był ostatnio bardzo eksponowaną postacią – wszystkie akcje marketingowe, ważniejsze konferencje, eventy, płomienne przemowy przed meczem. Kapitan był wszędzie, ale... nie na boisku, gdzie spędził tylko około 250 minut, choć na ogół kapitanowie grają regularnie, często są sportowymi liderami. Nie gryzło to pana w jakiś sposób, nie wpływało na samoocenę?

– To zależy, jak kto do tego podchodzi. Nie występował u mnie przerost ambicji i miałem świadomość, w jakim jestem miejscu, jak wyglądam fizycznie na tle chłopaków, bo piłkarsko zawsze bym się obronił. Widziałem, jak chłopcy trenują, jak dużo dają z siebie i jak wiele to mnie kosztuje, żeby im dorównać. Miałem pełną świadomość, że nie tyle nie zasługuję na grę w pierwszym składzie, co uznałem świadomie swoją rolę w drużynie. Nikt mi nie musiał tego tłumaczyć. To bardziej ja rozmawiałem z trenerami i uspokajałem, żeby na siłę nie próbowali mnie zadowalać i robili swoje, podejmowali decyzje takie, jakie uważają za słuszne. Szanowałem każdą. Jeśli miałem grać, to grałem, jeżeli nie grałem – nie miałem z tym problemu. Oczywiście, zawsze była złość sportowa, ale rozsądek i świadomość pozycji w drużynie wygrywały. Nawet przez moment nie miałem chwili, że mnie to uwierało czy sprawiało, że moja pewność siebie malała, a respekt u chłopaków spadał. Tak nie było.

Kiedy Ruch piął się od III ligi, każdy pana znał i wiedział, czego dokonał. Jednak w ekstraklasie, przede wszystkim zimą, przyszło do zespołu wielu obcokrajowców i doświadczonych ligowców, którzy nawet nie patrzyli na I ligę. Nie obawiał się pan, że może utracić nieco autorytetu? „Chłopie, co ty mi tu będziesz gadał, jak nawet nie grasz".

– Ci, którzy przychodzili – zresztą nadal tak się dzieje – wiedzieli, dokąd trafiają. Oglądają chociażby kulisy robione przez Asceta (najważniejsza osoba w Ruch TV – przyp. red.). Soma Novothny powiedział mi kiedyś, że jednym z powodów, dla których wybrał nasz klub, a nie inny z tej samej ligi, było to, że obejrzał kulisy i zobaczył jedną z moich przemów. Powiedział żonie, że on chce grać w tym klubie i w szatni u tego gościa. Myślę, że oni wiedzieli, że na boisku nie jestem najważniejszą postacią, ale to nie miało dla nich większego znaczenia.

Wielkie Derby Śląska, Stadion Śląski, wspólna konferencja przedmeczowa. Ruch reprezentuje pan, a waszego odwiecznego rywala Lukas Podolski – mistrz świata, niezwykle bogate CV, piłkarz wpływający na wyobraźnię każdego kibica ekstraklasy, wielki format. Wprost mówi, że – co najmniej – nie lubi Ruchu. Patrząc z boku, można było spekulować, że ma nad panem przewagę psychologiczną. Trudno siedziało się na takiej konferencji?

– Jeśli chodzi o Lukasa Podolskiego, przede wszystkim trzeba szanować postacie, które są w takich klubach. Co mi się u niego podoba, to że jest prawdziwy i mówi to, co myśli. Nie lubi Ruchu? Oczywiście. My też nie lubimy Górnika, ja nie lubię Górnika. Nie lubi Ruchu, ale mówi, że go szanuje i chciałby, aby był w ekstraklasie. Myślę tak samo. Nie sympatyzuję z Górnikiem, ale chciałbym, żeby derby były rozgrywane regularnie. To piłkarskie święto. Podczas konferencji nie czułem się w żaden sposób przytłoczony. Cieszyłem się, że razem możemy wziąć w niej udział i to mi się podobało.

Jak wyglądają kulisy takich derbowych konferencji? Luźna gadka czy sztywna rozmowa o pogodzie, ze spojrzeniami spode łba?

– Jest bardzo spokojnie. Dużo kurtuazji, normalnych rozmów. Wiadomo, że one nie są długie, ale zawsze zamieni się kilka słów z trenerem czy piłkarzem. Nie ma co się doszukiwać tutaj jakichś złowrogich działań.

Czuje się pan legendą Ruchu Chorzów?

– Na pewno nie. Wizerunki legend znajdują się na stadionie. Kiedy będzie nowy obiekt, na pewno zrobimy coś, żeby znalazły tam swoje miejsce. Nie porównuję się do żadnych legend i ikon klubu.

Tym legendom było łatwiej. Ruch był jednym z największych klubów, grał o mistrzostwa, ale żadna z nich nie była kapitanem na czwartym poziomie rozgrywkowym i nie zaprowadziła go z powrotem do elity.

– Do legendy mi daleko. Cieszę się, że przez te wszystkie lata zapracowałem na szacunek ludzi w naszym środowisku i to jest dla mnie mega ważne.

Rozmawiał Piotr Tubacki

Sport 947512eaad

Nie można? Jak widać, można...

Działacze z Lubina uznali, że nie ma okoliczności łagodzących i po porażce 1:5 w Częstochowie zwolnili trenera Waldemara Fornalika.

ZAGŁĘBIE LUBIN

Waldemar Fornalik od poniedziałku nie jest już szkoleniowcem „Miedziowych". – Nie czuję się wypalony, nie jestem trenerem, któremu się już nie chce pracować, który nie ma ambicji, nie może konkurować z młodszymi szkoleniowcami – zapewniał nie tak dawno w przedsezonowej rozmowie ze „Sportem", dzień wcześniej przedłużając o kolejne 12 miesięcy umowę z Zagłębiem Lubin. Negocjacje doświadczonego szkoleniowca trwały dość długo, a o umowie poinformowano opinię publiczną dopiero tuż przed wylotem drużyny na zgrupowanie do Słowenii. Sama konferencja prasowa z udziałem dyrektora sportowego Piotra Burlikowskiego, który także parafował wtedy nowy kontrakt, oraz prezesem Pawłem Jeżem miała sympatyczny przebieg.

Pełne wsparcie dla trenera

To na niej lubiński działacz opowiadał, że Zagłębie obrało teraz nowe kierunki, a klub wytyczył sobie nową strategię działania. Realizację recepty na dynamiczny rozwój i lepsze wyniki zespołu miał zrealizować właśnie Waldemar Fornalik, cieszący się wówczas pełnym uznaniem i wsparciem zarządu klubu. W wielkim skrócie przypominając – nowe priorytety miały się sprowadzać do tego, by jak najwięcej młodych chłopaków z Akademii KGHM Zagłębia Lubin wchodziło do pierwszej drużyny. Jednocześnie zespół po okresie stagnacji miał dobrze grać w piłkę i zdobywać jak najwięcej punktów. Życzenia trudne do pogodzenia, wymagające czasu, cierpliwości, zgodnego działania wszystkich stron – właścicieli, działaczy, szkoleniowców. To klasyka, która nie najlepiej się kończy... Wiedzieliśmy o tym z doświadczenia, a teraz przekonał się o tym także były selekcjoner reprezentacji Polski.

W poniedziałek klub z Dolnego Śląska poinformował oficjalnie o dymisji Fornalika i pożegnaniu ze szkoleniowcem. Okrągłe formułki podziękowania za pracę załatwiały i tłumaczyły, zdaniem lubińskich działaczy, w kulturalny sposób ten mimo wszystko zaskakujący rozwód. To przecież prezes Jeż przekonywał na początku czerwca, że kontrakt 61-latka został przedłużony o kolejny rok w sposób przemyślany, a wielkim oczekiwaniom towarzyszą stalowe nerwy odporne na emocje i ciśnienie związane z natychmiastowym żądaniem dobrych wyników.

Włodarski na horyzoncie

Połączyliśmy się w poniedziałek z trenerem Fornalikiem, który właśnie się pakował do powrotu na Górny Śląsk, gdzie mieszka. – Proszę mi wybaczyć, ale jest za wcześnie na komentarze z mojej strony. Może później. Twierdzi pan, że mając podpisany kontrakt, nie można zwolnić trenera? Jak widać, można – przekazał nam były już szkoleniowiec Zagłębia.

O tym, że jego kadencja jest zagrożona, wyczuwało się od jakiegoś czasu. Po zajęciu ósmego miejsca w poprzednim sezonie dolnośląski klub liczył na poprawę tego wyniku, tymczasem postawa zespołu w nowych rozgrywkach nie była dobra.

W dziewięciu meczach Zagłębie zdobyło tylko osiem punktów, zsuwając się w tabeli do strefy spadkowej. Lubinianie wyprzedzają jedynie Stal Mielec oraz Śląsk Wrocław, ale oba te zespoły mają mniej rozegranych spotkań. Pech trenera polegał też na tym, że kontuzji doznali trzej podstawowi, wręcz kluczowi zawodnicy Zagłębia – Tomasz Makowski, Kajetan Szmyt oraz Dawid Kurminowski. To jednak nie było okolicznością łagodzącą. Czarę goryczy przelała niedzielna porażka 1:5 z Rakowem. Przegrana w Częstochowie była drugą z rzędu, a w sumie piątą w sezonie drużyny trenera Fornalika. W tym momencie władze klubu uznały, że po niespełna dwóch latach formuła współpracy się wyczerpała. Gwarant długofalowego rozwoju przestał w oczach działaczy nim być, więc postanowiono go zwolnić. Jednocześnie Zagłębie pożegnało się także z dotychczasowym dyrektorem sportowym, Piotrem Burlikowskim.

Wkrótce powinniśmy przekonać się, w jakim kierunku będzie zmierzało Zagłębie i kto zostanie nowym sternikiem zespołu. Jednym z kandydatów jest Marcin Włodarski, wcześniej pracujący z juniorskimi reprezentacjami Polski, od U-15 do U-17.

Zbigniew Cieńciała



Fot. Tomasz Folta/PressFocus

Sukces ma wielu ojców, porażka jest samotna...

CZY WIESZ, ŻE...

■ Trener Waldemar Fornalik był szkoleniowcem Zagłębia od 29 listopada 2022 roku. Prowadził zespół w 62 spotkaniach (24 zwycięstwa, 14 remisów, 24 porażki). Swoje sezony w Lubinie zakończył odpowiednio na 9. i 8. miejscu.

■ Posada trenera Fornalika wisiała na włosku już pod koniec sezonu 2023/24 po trzech kolejnych porażkach, a w sumie pięciu meczach bez wygranej z rzędu. Wtedy jednak obronił się niespodziewaną serią - pokonał Radomiaka 4:3, Raków 2:0, Widzew 3:1 i ŁKS 2:1. Cztery zwycięstwa zapewniły skok do pierwszej dziesiątki.

* W odstępie kilkunastu minut zwolniono także Piotra Burlikowskiego. To były pracownik Cracovii oraz Zawiszy Bydgoszcz, pracujący w Lubinie od 2014 do 2017 roku jako szef pionu sportowego, a następniejako dyrektor sportowy.

To jest katastrofa



Rozmowa z **Jerzym Engelem**, byłym selekcjonerem reprezentacji Polski

W poniedziałek miał miejsce kolejny wysyp zwolnień trenerów. Choć to dopiero początek sezonu, to „poleciały głowy" Waldemara Fornalika w Zagłębiu Lubin i Kazimierza Moskala w Wiśle Kraków...

– Trener powinien dokończyć rundę, którą zaczął. Piłkarze mają swoje okienko transferowe i po jego zamknięciu nie można już nic więcej zrobić. Podobnie powinno być z trenerami. Kluby – podpisując z nimi kontrakty – powinny się z nich wywiązywać. Jedyny czas, kiedy można byłoby ewentualnie trenera zmienić, z różnych względów, jak również on sam mógłby zrezygnować z pracy, to koniec rundy. Dopiero wtedy na miejsce poprzednika wchodzi następny trener. A nie w trakcie szybko biegnących rozgrywek, nie w trakcie trwania rundy.

Rozmawiamy o tym od 20 lat i nic się nie zmienia...

– Rozmawiamy o tym w Polsce od bardzo dawna, niestety również FIFA i UEFA nie traktują tego tematu priorytetowo. Priorytetowo traktują tylko sprawy zawodnicze, a problemy trenerów zostawiają na boku. Dobrze, że jest chociaż zabezpieczenie kontraktów. Jeżeli klub zwalnia trenera, to jest zobowiązany wywiązać się z umów i płatności kontraktowych, bo różnie z tym kiedyś bywało.

Ale w tym przypadku chyba nie tylko chodzi o pieniądze kontraktowe?

– No nie, ponieważ trener powinien mieć szansę na wyciągnięcie zespołu z problemów sportowych, w jakich się znalazł. A my chcemy tylko trenerów, którzy wygrywają. A gdy jest źle, to natychmiast wymieniamy na „lepszego", który – jak się wydaje – przyjdzie i od razu uzdrowi sytuację. Tymczasem trener jest po to, by pomóc zespołowi zarówno w trudnych, jak i w dobrych momentach. Mnie zawsze bolało, że trenerzy są w tak bezceremonialny sposób traktowani przez właścicieli klubów.

Trener Fornalik miał odważnie stawiać na młodzież, a to się trochę kłóci z jednoczesnym osiąganiem dobrych wyników. Miał zgodę na wprowadzanie do składu klubowych talentów, tymczasem już po dziewiątej kolejce został zwolniony.

– Rozmawiałem niedawno z trenerem Fornalikiem, który mówił, że priorytetem klubu jest stawianie na młodzież, na swoich wychowanków. Nie na chłopaków, których wypatrzą i ściągną do Lubina, tylko na swoje talenty, młodzież wyszkoloną w klubowej akademii Zagłębia. A to nie jest takie proste. Wymaga czasu, pracy czy poświęcenia. Przy młodych zawodnikach jest tak, że trafiają się talenty, ale są też roczniki, gdy ich nie ma i wtedy zaczyna się kłopot.

Czyli decydują prezesi, menedżerowie, zarządzanie korporacyjne nastawione na szybki zysk, a nie rozwój piłki?

– Najwięcej wygrywają trenerzy, którzy decydują o całości swojej pracy. A więc o tym, kto odejdzie, kto przyjdzie, jak będzie wyglądała selekcja i przygotowanie zespołu. Jeżeli któryś z tych obszarów jest oddany w inne ręce, to mamy kłopot. Tymczasem „modni" trenerzy są uzależnieni od innych, godzą się, że ktoś decyduje za nich. Za to tacy szkoleniowcy zawsze znajdą pracę, ci pierwsi przy pierwszym potknięciu ją stracą.

Zawiadujący klubami nie zdają sobie sprawy, że spokojna, metodyczna praca trenerów ma wpływ na rozwój polskiej piłki? Albo może nie interesuje ich przyszłość, skoro zwalniają ich po trzech, pięciu, ośmiu czy dziewięciu kolejkach.

– Tak, to jest katastrofa, bo nie ma nic gorszego, jak zmieniać koncepcje szkolenia w trakcie rundy czy sezonu, pozbawiając trenera możliwości dłuższej pracy. Każdy nowy trener ma nowe spojrzenie i właściwie zawsze rozpoczyna pracę od początku. Będzie starał się nauczyć zespół czegoś nowego. Oczywiście czasem efekt „nowej miotły" się sprawdza, ale tylko czasem. W zdecydowanej większości przypadków jest odwrotnie. Niestety, klubami zarządzają prywatne spółki i mogą robić w swoich firmach, co chcą. Nikt nie ma na to żadnego wpływu. Kiedy byłem szefem szkolenia w PZPN, chciałem coś zmienić, wprowadzić inne zasady, ale nikt nie chciał się tego podjąć. Patrzono tylko na rynek zawodniczy, traktując trenerów zupełnie po macoszemu. I jak widać po ostatnich dymisjach, nic się w tej kwestii nie zmieniło, niestety...

Rozmawiał Zbigniew Cieńciała

Sport 947512eaad

Prezes bez odwagi

Jarosław Królewski nie zdecydował się na spotkanie z dziennikarzami. Niespodziewane zmiany postanowił wytłumaczyć w... liście.

WISŁA KRAKÓW

W poniedziałek „Biała Gwiazda" poinformowała o rozstaniach z pięcioma osobami. Wiadomości wstrząsnęły klubem od wewnątrz i kibicami. Zwolniony został m.in. trener Kazimierz Moskal, który w czerwcu podpisał kontrakt na dwa lata, a nie przepracował nawet czterech miesięcy!



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Krótko trwała współpraca Jarosława Królewskiego (z lewej) z trenerem Kazimierzem Moskalem.

Nie miał pomysłu?

Prezes Jarosław Królewski latem używał mocnych słów, nazywając patologią zmiany w trakcie sezonu, po krótkim czasie pełnienia funkcji. Moskala zapewniał o ogromnym poparciu. – To jest osoba, która ma serce wiślackie, ale przede wszystkim kompetentna, co nieraz udowodni. Ale nie będąc hipokrytą w tym temacie, szczerze powiedziawszy, nigdy nie miał szansy kontynuować tego, co zrobił dobrze na samym początku swojej misji z poszczególnymi klubami. W związku z tym między innymi moim pomysłem na pracę nowego trenera jest to, by miał więcej czasu i chciałbym, żeby państwo się też do tego w jakiś sposób przyzwyczaili, że dopóki pan trener będzie chciał być trenerem Wisły Kraków, to ja będę jako prezes zarządu dążył do tego, żeby on nim pozostał – mówił 5 czerwca szef klubu.

Wisła nie miała ostatnio dobrych wyników. W lidze znajduje się niemal na dnie – ma jednak trzy mecze mniej od większości rywali – ze średnią punktów 0,86. Moskal nie pracował jednak w idealnych warunkach. Ze względu na liczne zmiany piłkarzy i występy w europejskich pucharach mało było czasu na spokojny trening i zgranie zespołu. Dlaczego musiał odejść? „Trener Kazimierz Moskal – człowiek, którego szanuję i który jest legendą Wisły – po meczu z ŁKS-em sygnalizował, że brakuje mu pomysłów (niekoniecznie z jego winy, lecz ze względu na „materiał ludzki", który posiada) na dalsze prowadzenie zespołu. Te sygnały otrzymałem nie tylko ja, ale również dostrzegli je zawodnicy i sztab szkoleniowy. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że zespół potrzebuje nowego impulsu. (...) Szanuję dorobek piłkarski i trenerski Kazimierza Moskala, ale Wisła potrzebuje dziś nowego impulsu. Decyzja o rozstaniu z Jarosławem Krzoską (kierownikiem drużyny – przyp. red.) również była wynikiem analizy i feedbacku, jaki otrzymaliśmy z klubu oraz z jego otoczenia. Wisła Kraków ma swoje wady i zalety, które czynią nas wyjątkowymi. Piłka nożna to dynamiczny układ, a każdy z nas ma swoje słabe strony i trudne momenty. Ważne, abyśmy pomagali sobie nawzajem rosnąć i doskonalić się" – tłumaczy Królewski w swoim długim liście.

Powrót do Jopa

Wisła nie była przygotowana na zmianę szkoleniowca, nie miała „dogranego" nowego nazwiska, choć pojawiły się plotki, że na Reymonta ma wrócić Hiszpan Albert Rude. Na razie tymczasowym trenerem został Mariusz Jop, który był w sztabie Rude i Moskala, a w grudniu prowadził drużynę w kilku meczach po dymisji Radosława Sobolewskiego. Królewski zapowiedział, że obecna sytuacja klubu wymaga szerszej reformy. Inspiracją była dla niego konferencja w Sewilli, gdzie spotkał przedstawicieli dużych marek piłkarskich, które budują swoją siłę na solidnych fundamentach. Królewski wierzy, że Wisła powinna iść podobną drogą, koncentrując się na długoterminowym rozwoju. Na zakończenie Królewski przypomniał, że Wisła Kraków przetrwała trudny okres w 2019 r. i udało się ją uratować. Wierzy, że mimo obecnych wyzwań, klub znów powalczy o awans, a najpóźniej w kolejnym sezonie znów będziemy go oglądać w ekstraklasie.

Michał Knura

Aż się zagotował!

ANGLIA

Bolton Wanderers to znany klub, który do 2012 roku występował w Premier League. Potem jednak zanotował spadek i w kolejnych latach radził sobie coraz słabiej, raz nawet grając na czwartym szczeblu rozgrywkowym. Dziś jest przeciętnym trzecioligowcem i uda się do Londynu, by w Pucharze Ligi zagrać z Arsenalem, który raczej... niespecjalnie się nim przejmuje. W szeregach „Kanonierów" wciąż żywy jest ostatni remis z Manchesterem City i stracona w 98 minucie bramka.

Pod koniec na murawie było bardzo gorąco. „Udzielał się" szczególnie napastnik City Erling Haaland. Po golu na 2:2 chwycił piłkę i rzucił w głowę obrońcy Arsenalu Gabriela Magalhaesa, który był obrócony tyłem. Po ostatnim gwizdku Norweg wdał się w dyskusje i kazał trenerowi „Kanonierów" Mikelowi Artecie... zachować pokorę. Wtedy w obronie swojego szkoleniowca stanął Gabriel Jesus, ciepło przywitany na stadionie w Manchesterze jako były gracz „Obywateli". Haaland użył w stosunku do niego kilku niecenzuralnych słów, a 17-letniego debiutanta w ekipie rywali Lewisa Mylesa-Skally'ego zapytał, kim w ogóle jest.

Takie zachowanie rozwścieczyło legendę Arsenalu Iana Wrighta. – Jedyną rzeczą, przez którą się zagotowałem, było to, co zrobił Haaland. Rzucenie piłki w głowę Gabriela, kiedy ten nie patrzył i był odwrócony plecami, to naprawdę tchórzliwy ruch. To mnie dręczyło bardziej niż cokolwiek innego. Myślałem, że jesteś ponad to – powiedział znakomity niegdyś napastnik. Haaland uniknął jednakkonsekwencji swojego zachowania i nie został ukarany przez władze ligi.

(PTub)

3. RUNDA PUCHARU LIGI ANGIELSKIEJ

Środa: Arsenal – Bolton (20.45), Liverpool – West Ham (21.00)

Anglicy na świeczniku

Kluby z Premier League są uznawane za faworytów w Lidze Europy, której finał odbędzie się w Bilbao.

LIGA EUROPY

Dzisiaj i jutro odbędzie się 1. kolejka fazy ligowej UEFA Europa League. Tak jak i w Lidze Mistrzów, tak i w tym przypadku zmierzą się 36 zespoły, które będą sklasyfikowane w jednej wspólnej tabeli. Każdy zagra 8 meczów, 4 u siebie i 4 na wyjeździe, a od wyników w nich osiągniętych będzie zależało końcowe miejsce w stawce. Osiem najlepszych drużyn awansuje do 1/8 finału, a kolejnych 16 zagra ze sobą baraże o pozostanie w LE. Pozostałe 12 odpadnie po 8 spotkaniach.

Szczególny mecz ten Haga

Dominatorami Ligi Europy są kluby z Hiszpanii. Odkąd zniknął Puchar UEFA i pojawiła się obecna nazwa rozgrywek, czyli od sezonu 2009/10, na 15 edycji przedstawiciele La Ligi zwyciężali aż dziewięć razy – pięć razy Sevilla, trzy razy Atletico i raz Villarreal! Teraz żaden z tych klubów nie znalazł się w stawce, a Hiszpanię będą reprezentować Real Sociedad oraz Athletic Bilbao, na którego stadionie 21 maja 2025 roku odbędzie się finał. Drużyny te nie są jednak pierwszoplanowymi, jeśli chodzi o miano faworyta. Znacznie wyższe notowania mają przedstawiciele angielskiej Premier League. Oni Ligę Europy zwyciężali trzykrotnie – dwa razy Chelsea, raz Manchester United, który dodatkowo przegrał jeszcze jeden finał. „Czerwone diabły" wezmą udział w startującej dziś odsłonie i zagrają u siebie z Twente. Drugi angielski zespół w rozgrywkach to Tottenham, który jutro podejmie Karabach.

Mecz z Twente będzie szczególny dla trenera United Erika ten Haga. Holender urodził się bowiem pod Enschede, skąd pochodzi jego najbliższy rywal, zaczynał i kończył tam swoją piłkarską karierę. Również jako trener zaczynał w Twente, w zespołach U-17, a potem przez trzy sezon był asystentem Freda Ruttena, a następnie Steve'a McClarena w seniorskiej drużynie. – Twente to mój klub. Dorastałem tam, grałem i trenowałem w sumie przez 23 lata. W nowym formacie rozgrywek liczy się każdy mecz, ale ten będzie dla mnie szczególny. Liczy się dla nas tylko zwycięstwo – powiedział ten Hag.

Hargreaves wierzy w United

Holender cały czas musi mierzyć się z krytyką. Jej poziom jest zależny od osiąganych w danej chwili wyników, ale nigdy nie znika. United grają w pucharach tylko dlatego, że zdobyli Puchar Anglii, bo w Premier League skończyli dopiero na ósmej pozycji. Gdyby nie trofeum, ten Haga prawdopodobnie by już w Manchesterze nie było. Kto wie, czy dobre występy w Lidze Europy również nie pomogą mu w ewentualnym zachowaniu posady.

– Jeśli weźmiemy pod uwagę problemy drużyny w Lidze Mistrzów, ostatni sezon był rozczarowujący. Liga Europa to jednak bardzo realistyczny cel, jeśli spojrzymy na skład MU. Nie wykluczałbym tego. Jeśli znajdą sposób na zdobycie kolejnego trofeum, ten Hag zachowa swoją posadę – ocenił były reprezentant Anglii i piłkarz „Czerwonych diabłów", Owen Hargreaves. – Początek sezonu nie był w ich wykonaniu wystarczająco dobry, bo oczekiwania były inne, zwłaszcza po udanym okienku transferowym. Muszą się rozkręcić, a europejskie puchary to wielka szansa dla wszystkich zawodników. Wiem, że chcieliby grać w Lidze Mistrzów, ale czasem lepiej występować w tych rozgrywkach, które można wygrać – dodał Anglik.

Piotr Tubacki

Program 1. kolejki

Środa: Alkmaar – Elfsborg, Bodo/Glimt – Porto (oba 18.45), Dynamo Kijów – Lazio, Midtjylland – Hoffenheim, Galatasaray – PAOK, Ludogorec – Slavia, Man. Utd. – Twente, Nicea – Sociedad, Anderlecht – Ferancvaros (wszystkie 21.00).
Czwartek: Fenerbahce – Union SG, Malmo – Rangers (oba 18.45), Ajax – Besiktas, Eintracht – Pilzno, FCSB – RFS, Lyon – Olympiakos, Roma – Bilbao, Braga – M. Tel Aviv, Tottenham – Karabach (wszystkie 21.00).

Sport 947512eaad

Szukanie ideału

Mimo remisu zarówno Krzysztof Brede, jak i Marek Saganowski byli zadowoleni z ostatniego meczu Podbeskidzia z Zagłębiem.

BETCLIC 2. LIGA

Patrząc przez pryzmat ostatnich dwóch meczów, w których straciliśmy siedem bramek, z ciężkiego terenu wyjeżdżamy z czystym kontem – mówił po bezbramkowym remisie trener Zagłębia Sosnowiec, Marek Saganowski, który był zadowolony z zaangażowania swoich piłkarzy. – Bardzo dobry mecz Joela Valencii i całej linii obrony. Poprawiliśmy wszystko to, co zaplanowaliśmy, i to na pewno jest droga, którą chcemy podążać. Zdajemy sobie jednak sprawę, że jeszcze dużo pracy przed nami. Jeśli chodzi o mecz, to w pierwszych 20 minutach wypracowaliśmy dogodne okazje. Przy jednej z nich Kamil Biliński... wybił piłkę z linii bramkowej po strzale... Andrzeja Niewulisa, ale tak czasami bywa... Potem inicjatywę przejęło Podbeskidzie. Druga połowa wydawała się dużo bardziej wyrównana. Oba zespoły próbowały wychodzić z szybkimi atakami. Na początku Biliński miał sytuację, którą mógł sfinalizować. Cieszę się, że zeszliśmy ze złej drogi, bo ostatnio łatwo traciliśmy bramki, a tym razem zagraliśmy na zero z tyłu. Gdybyśmy wywieźli komplet punktów, byłoby wręcz idealnie. Zmiany pokazały, że wszyscy są gotowi i ciężar gry mogą brać na siebie – zakończył szkoleniowiec Zagłębia.



Fot. Krzysztof Dzierżawa/PressFocus

Joel Valencia (z lewej) jest w coraz wyższej formie.

Zabrakło iskry

Krzysztof Brede, podobnie jak po porażce w Chojnicach, zaczął od oceny pracy sędziego, choć tym razem go... nie krytykował. – Trzeba pochwalić arbitra, który dźwignął ten mecz i prowadził go bardzo dobrze. Z tego się cieszę, bo ostatnio nie byłem zadowolony – zaznaczył trener Podbeskidzia. Później mówił już o planie swojej drużyny na spotkanie i sposobie jego realizacji. – Byliśmy nastawieni na budowanie ataków pozycyjnych, spodziewaliśmy się, że Zagłębie będzie chciało zagrać kontratakującym stylem i faktycznie tak to wyglądało. Budowaliśmy wiele akcji, ale przy ich wykańczaniu zabrakło trochę precyzji. Stworzyliśmy bardzo dobrą sytuację, gdzie był słupek (w 24 minucie po strzale głową Lucjana Klisiewicza – przyp. red.) i nie zdołaliśmy dobić piłki, która przetoczyła się po linii bramkowej. Drużyna przeciwna za bardzo nam nie zagroziła i mecz zakończył się remisem. U siebie chcemy wygrywać, nie patrząc na to z kim gramy i z takim nastawieniem wyszliśmy na boisko – mówił trener Brede, który ocenił, że starcie Podbeskidzia z Zagłębiem było pojedynkiem drużyn, które mają jakość, ale tym razem zabrakło iskry. – Był to mecz zespołów, które znają się na piłkarskim rzemiośle, lecz zabrakło im błysku. Mamy niedosyt, ale obiektywnie patrząc, nie było to spotkanie, w którym miażdżyliśmy przeciwnika. Trzeba brać ten punkt i pracować dalej nad poprawą skuteczności – zakończył szkoleniowiec bielszczan.

Kapitan kontuzjowany

W czwartek w Bielsku-Białej „Górali" czeka mecz Pucharu Polski z ekstraklasowym Zagłębiem Lubin, które po wysokiej porażce z Rakowem Częstochowa rozstało się z trenerem Waldemarem Fornalikiem. W bielskim zespole gotowy do gry powinien być już pomocnik Jaka Kolenc, wracający do zdrowia po niegroźnym – jak się okazało – urazie. Na kilka tygodni z powodu problemów mięśniowych wypadł Daniel Dziwniel, którego zabrakło już w niedzielnym meczu. Doświadczony obrońca, będący także kapitanem zespołu, od początku sezonu ma problem z utrzymaniem równej dyspozycji i jego miejsce w składzie zajmie Kacper Gach. Wychowanek klubu w wyjściowym składzie wybiegł już w spotkaniu z Chojniczanką. **(gru)**

Wstrzymał „wędkę"

Trener Pniówka 74 Pawłowice Kamil Rakoczy z trudem przełknął klęskę z rezerwami Górnika Zabrze.

BETCLIC 3. LIGA

Nie ma sensu silić się na żadną „mowę obronną" – w potyczce z rezerwami Górnika Zabrze piłkarze Pniówka 74 Pawłowice po prostu się skompromitowali, przegrywając aż 0:5. Jeszcze nigdy w historii swoich występów w III lidze nie ponieśli tak dotkliwej porażki, chociaż niespełna rok temu, konkretnie 14 października, surowej lekcji futbolu udzielił im Górnik Polkowice, wygrywając w Pawłowicach 5:2. Wówczas w pierwszej połowie pojedynek był wyrównany (2:2), gospodarze „pękli" dopiero w końcówce spotkania. Doskonale ilustruje to zapis strzelonych goli: dla Pniówka zdobyli je Damian Warnecki (4-karny) i Jakub Kasperowicz (27); dla przyjezdnych – Jakub Ryś (14, 82), Mariusz Szuszkiewicz (26), Kacper Bajerski (49) i Szymon Drewniak (84).

W sobotnim meczu zabrzanie w 34 minucie prowadzili 2:0 i po końcowym gwizdku arbitra zapytałem trenera jedenastki z Pawłowic, czy nie korciło go, by już w pierwszej połowie dokonać roszad w składzie. – Korciło, ale nie chciałem żadnemu z moich piłkarzy w tym momencie zarzucać „wędki" – odpowiedział Kamil Rakoczy. – Przegrywaliśmy już 0:3, a wiadomo, jak to wpływa na zawodnika, gdy zdejmuje się go już w trakcie pierwszej połowy. Myślę, że nie byłoby to dobrze przez nich odebrane, negatywnie odbiłoby się przede wszystkim na ich psychice. Szkoda byłoby niszczyć ich psychicznie, skoro i tak byliśmy już zniszczeni. Nasze zadanie na ten tydzień to podnieść psychicznie piłkarzy, ponieważ bardzo trudno przełknąć tak wysoką porażkę, a taka do tej pory nam się nie zdarzyła. Będziemy musieli zrobić wszystko, by podnieść tę drużynę z kolan i wygrać kolejny mecz z Unią Turza Śląska, bo jest on bardzo ważny.

W obozie Pniówka nikomu nie jest do śmiechu, bo w dziewięciu meczach drużyna Kamila Rakoczego straciła aż 20 bramek. Gorzej w defensywie radzi sobie tylko Polonia Słubice, której bramkarze wyciągali piłkę z siatki aż 24 razy. Ale dla zespołu z Pawłowic marna to pociecha...

Bogdan Nather

O Puchar Wójta

W Marklowicach biegało w weekend 170 osób!

BIEGANIE

Narzekamy na wyniki polskich sportowców. Badania prowadzone przez fachowców i ekspertów pokazują dramatyczny stan naszych dzieci, gdzie prawie 90 procent nie potrafi wykonać prawidłowo przewrotu w przód, a porównanie wyników badań sprawnościowych z lat 1999 i 2024 wypada zdecydowanie lepiej na korzyść tych z końca XX wieku.

Tym bardziej przyklasnąć trzeba takiej inicjatywie jak sobotnie biegi „O Puchar Wójta Gminy Marklowice". Była to już 25. edycja tej imprezy. Wystartowało 150 dzieci w różnych kategoriach wiekowych, od rocznika 2018 do 2009. Dziewczynki i chłopcy ścigali się na dystansach od 100 do 1800 metrów na urokliwej trasie odnowionej Źródlanej Oazy.

Startowali nie tylko amatorzy, ale i zawodowcy, jak zawodnicy RMKS-u Rybnik czy Ski Team Wodzisław. Była duża rzesza piłkarzy, przede wszystkim Polonii Marklowice, a ceremonię nagradzania najlepszych pucharami trzeba było przyśpieszyć, bo część chłopaków szykowała się na swoje mecze.

W zawodach uczestniczyły całe rodziny. Wójt Marklowic Wiesław Mika przyjechał z dwójką synów, Patrykiem (V klasa) i Szymonem (I klasa), obaj byli w czołówce. – Trzeba aktywizować dzieci i cieszę się, że imprezy biegowe w naszej gminie mają tak bogatą tradycję – podkreślał wójt Mika.

W głównym biegu na 3900 metrów wygrywali zawodowcy, wśród mężczyzn bezkonkurencyjny – z czasem 13:32,3 – był Artur Baczyński z Marklowic. Wśród kobiet wygrała Alicja Dawid, trenująca u byłego reprezentanta Polski w biegach długodystansowych, Czesława Mojżysza w RMKS-ie Rybnik.

– Uczestników w tegorocznym biegu było więcej niż przed rokiem. Teren jest atrakcyjny, ludzie też chcieli pewnie zobaczyć, co się tutaj dzieje, a na dodatek dopisała pogoda. Myślę, że cyklicznie będziemy organizować ten bieg właśnie w Źródlanej Oazie. Cieszę się przede wszystkim z tego, że tyle dzieciaków wzięło udział w zawodach. Zresztą trzeba podkreślić, że ci najmłodsi nie tylko u nas biegają, ale też grają w piłkę w naszej Polonii, a także trenują taekwondo. Po tym, jak została poprawiona infrastruktura, do Źródlanej Oazy na zajęcia w środku tygodnia przyjeżdżają również kluby z innych miejscowości – zaznaczył Mika.

Michał Zichlarz



Fot. Michał Zichlarz

Wójt Marklowic Wiesław Mika z dwójką synów, starszym Patrykiem i młodszym Szymonem.

Sport 947512eaad

Nie płaczemy, walczymy!

Gramy z najlepszym zespołem w historii i nie mamy nic do stracenia - podkreśla przed starciem z Barceloną, zwycięzcą Ligi Mistrzów, trener wicemistrzów Polski, Tałant Dujszebajew.

Takich przeciwników, takich widowisk płockim i kieleckim sympatykom piłki ręcznej mogą pozazdrościć kibice z całej Polski, a nawet Europy. Tak się bowiem ułożył kalendarz Ligi Mistrzów, że w środę i w czwartek na parkietach mistrzów i wicemistrzów Polski zobaczymy czołowe siódemki Starego Kontynentu, Barcelonę i Paris Saint Germain. Francuzi przyjadą do nas z jednym z najlepszych europejskich obrotowych, reprezentantem Polski Kamilem Syprzakiem. Na pierwszy ogień już dzisiaj kielecka Industria skonfrontuje siły z Dumą Katalonii, praktycznie co roku jednym z faworytów do wygrania Ligi Mistrzów. Jak trudny to będzie rywal, niech świadczy też fakt, że cztery ostatnie polsko-hiszpańskie konfrontacje, to cztery zwycięstwa Barcy.

Koszulka Barcy dużo waży

– Barcelona to najlepszy zespół w historii piłki ręcznej, za Hiszpanami są THW Kiel i Telekom Veszprem. Kiedy grasz z tymi drużynami, nie masz nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Nie płaczemy. W środowy wieczór w Hali Legionów chcemy powalczyć o dwa punkty – zapowiedział rener Industrii, Tałant Dujszebajew.

Hiszpanie sezon w LM rozpoczęli od dwóch zwycięstw. Na wyjeździe ograli Kolstad 35:30, a przed tygodniem w domu OTP Bank-Pick Szeged 31:30 i w grupie B są jedynym zespołem z kompletem punktów. W spotkaniu z wicemistrzem Węgier urazu barku doznał Dika Mem. Jednego z najlepszych zawodników świata czeka kilkutygodniowa przerwa. - Koszulka Barcelony waży bardzo dużo i zobowiązuje. Katalończycy potrafią grać niezwykle szybko i korzystać z dobrej postawy w obronie. W starciu z Barceloną nie można popełniać zbyt wielu błędów. Po nich zespół Carlosa Ortegi z łatwością odskakuje na kilka bramek. Nie jesteśmy pewni, czy zagra Mem. Jesteśmy przygotowani tak, jakby miał pojawić się na boisku. Jedyne, czego możemy się spodziewać, to tego, że przyjedzie najlepszy zespół na świecie – stwierdza kirgiski szkoleniowiec Industrii, przypominając od razu, że jego zespół jest mocno osłabiony. Zabraknie kontuzjowanych już od dłuższego czasu Hassana Kaddaha i Szymona Sićki oraz Jorge Maquedy i Aleksa Dujszebajewa, prawych rozgrywających. Starszy syn trenera Industrii urazu doznał podczas meczu z RK Zagrzeb i nie zagra przynajmniej przez dwa miesiące.



12 TRIUMFÓW w Lidze Mistrzów

zanotowała Barcelona. Ostatni miał miejsce 9 czerwca tego roku, kiedy w dramatycznym finale pokonała Aalborg 31:30.

Fot. Łukasz Laskowski/PressFocus

Tałant Dujszebajew i Tomasz Gębala powalczą dziś o pełną pulę.

Trener wie, kim jest i skąd jest

– Mamy swoje problemy, przede wszystkim zdrowotne. Przy czymś takim, ciężko o osiągnięcie korzystnego wyniku. Szczególnie że brakuje nam wielu zawodników. Gramy praktycznie bez nominalnych bocznych rozgrywających. Jestem tutaj 10,5 roku. Chciałbym zapytać, czy kiedykolwiek płakałem, że kogoś mi brakuje? Wiem, kim jestem, skąd jestem i jak mam walczyć w takich sytuacjach. W życiu trzeba umieć walczyć. Jesteśmy Iskrą Kielce. Też jesteśmy potęgą i historią tego sportu – zaraża optymizmem Tałant Dujszebajew, dodając przy tym, że jego podopieczni dobrze zmotywowani byli już na Zagrzeb, podobnie było w Nantes, jednak z wicemistrzami Francji w kieleckiej drużynie bardzo szwankowała skuteczność. Kielczanie nie wykorzystali wielu doskonałych sytuacji, zdobywając w całym spotkaniu tylko 20 bramek. Powetowali to sobie w ligowym starciu z Azotami Puławy, rzucając aż 49 bramek.

Trzeba iść do przodu

– W sporcie jest często tak, że jak zaczynasz trenować taktykę, wszystko masz ułożone w głowie, a takich elementów jak skuteczność brakuje. Zaczynasz trenować trochę więcej rzutów, to szwankuje obrona. Dlatego piłka ręczna jest taka nieprzewidywalna. Musisz się w takiej sytuacji zmobilizować, nie patrzeć na to co było, tylko wyciągnąć wnioski z błędów, które popełniłeś i iść do przodu - tłumaczy trener „Żółto-biało-niebieskich", dodając: – Przegraliśmy z Nantes 20:23, a jeszcze niedawno rzuciliśmy im 40 bramek. Każdy mecz to inna historia. Jestem zadowolony z tego, jak trenują moi zawodnicy. Oni są tylko ludźmi. Czasami swój dzień ma bramkarz. W niedzielę Nantes grało z Tuluzą i tam bramkarze odbili 3 piłki, a z nami 14. Sezon jest długi.

Jest jeszcze jeden ważny element środowego starcia z Barceloną – trener 20-krotnych mistrzów Polski jest przekonany, że w Hali Legionów ósmym zawodnikiem jego drużyny będą kibice. – Zawsze nas wspierają i jak mówię, że „bez nich jesteśmy sierotami", to nie są to puste słowa. Miliard razy będę powtarzał, że pamiętam, jak była pandemia i jak ich brak był dla nas trudny. Bez naszych kibiców nie jesteśmy tym samym zespołem. Czujemy ich wsparcie i w takich meczach dajemy od siebie więcej niż zwykle - komplementował kieleckich fanów Tałant Dujszebajew, od wielu lat zdeklarowany sympatyk Realu Madryt.

Zbigniew Cieńciała

CZY WIESZ, ŻE...

■ Kielczanie po dwóch kolejkach LM mają 2 punkty. Industria najpierw wygrała we własnej hali z chorwackim RK Zagrzeb (30:23), a tydzień temu przegrała we Francji z HBC Nantes (20:23).

■ Hiszpanie będą się starali grać szybko. Ich mocnymi punktami są bramkarze. Emil Nielsen i Gonzalo Pere de Vargas to medaliści olimpijscy, którzy odbijają sporo piłek. - Szybko starają się wyprowadzać kontrataki, skrzydłowi biegają intensywnie. Mocno i twardo grają w obronie. Dlatego, aby myśleć o zwycięstwie z tak świetnym rywalem, musimy być dobrze przygotowani i realizować założenia - podkreśla lewoskrzydłowy Industrii, Cezary Surgiel.

■ Kielczanie toczyli wyrównane boje z Barceloną, ale na 14 pojedynków wygrali tylko 3, z czego 2 w ciągu sześciu dni listopada 2021 roku; najpierw na jej terenie 32:20, a następnie u siebie 29:27. Środowy mecz rozpocznie się w Hali Legionów o godz. 20.45. Transmisja w Eurosporcie.

„Karo" rwie się do gry

Dziś w Centralnym Ośrodku Sportu w Szczyrku zakończy się zgrupowanie reprezentacji Polski kobiet, która przygotowuje się do zbliżających się mistrzostw Europy.

REPREZENTACJA KOBIET

Biało-czerwone po raz ostatni trenowały wspólnie w kwietniu, kiedy w ciągu kilku dni dwukrotnie wygrały z Kosowem, uzyskując awans na Euro, a także zagrały towarzysko z Brazylią. Jak łatwo obliczyć, od ostatniego spotkania minęło ponad pięć miesięcy. W kadrze niewiele się zmieniło, trener Arne Senstad nadal ufa zawodniczkom, które powoływał na poprzednie zgrupowania, choć był zmuszony dokonać jednej zmiany. Miejsce Aleksandry Rosiak, wracającej po zagranicznych wojażach do MKS-u Lublin, zajęła Katarzyna Cygan z MKS-u Gniezno. Powody tej roszady nie są znane, ale najpewniej chodzi o kwestie zdrowotne. Z drugiej strony w ostatnim meczu Orlen Superligi „Rosi" wybiegła na boisko i nawet zdobyła bramkę... Norweski szkoleniowiec najwyraźniej uznał, że ta zawodniczka nie wymaga testów i lewa połówka rozegrania podczas towarzyskiego turnieju w Czechach zostanie obsadzona między innymi przez Cygan, dysponującą bardzo podobnymi parametrami do Rosiak.

W zgrupowaniu brało udział 19 piłkarek i określenie „brało" jest trafne, bo Karolina Kochaniak-Sala od ponad pięciu miesięcy przechodzi rehabilitację po zerwaniu więzadeł krzyżowych. Bardzo jej jednak zależało na tym, aby towarzyszyć koleżankom i w niektórych ćwiczeniach brała udział. Leczenie liderki narodowego zespołu przebiega mozolnie, ale prawidłowo, lecz na treningi z pełnym obciążeniem jest jeszcze za wcześnie. Trudno też jednoznacznie stwierdzić, czy „Karo" zdąży się wykurować na mistrzostwa Europy. – Bardzo bym już chciała wrócić. Z czasem jest nawet coraz gorzej, bo czuję, że mogę robić więcej, ale to wciąż za mało, żeby grać. Dlatego nie zawsze łatwo jest oglądać mecze koleżanek. Gdy siedzę na trybunach, często zastanawiam się, co bym zrobiła w danej sytuacji. Moja głowa po części jest już na parkiecie, jednak muszę poczekać, żeby nogi też się tam znalazły – powiedziała zawodniczka Zagłębia Lubin.

Jej ewentualny brak byłby sporym osłabieniem i trener Senstad na środku rozegrania musiałby szukać innych rozwiązań. Posłużyć ma temu towarzyski turniej w czeskim Chebie, na który kadrowiczki udadzą się dziś. Do pokonania będą miały ponad 600 km, a w mieście pod niemiecką granicą czeka je spora dawka wysiłku. W ciągu trzech dni rozegrają bowiem trzy mecze. Pierwotnie miały się zmierzyć z Egipcjankami, ale te niemal w ostatniej chwili odwołały przyjazd. By uniknąć „pustego przebiegu", organizatorzy dokooptowali do turnieju Hazenę Kynżvart. Z wicemistrzyniami Czech Polki zmierzą się w sobotę o 13.00 i tym meczem zakończą udział w imprezie. Rozpoczną natomiast czwartkowym (19.00) starciem z Islandkami, a w piątek (19.00) ich rywalkami będą Czeszki. Turniej ma pomóc w zgraniu zespołu przed wspomnianym Euro, które od 28 listopada do 15 grudnia odbędzie na Węgrzech, w Austrii i w Szwajcarii. Nasz zespół trafił do grupy C wraz z Hiszpanią, Portugalią i Francją.

(mha)

Sport 947512eaad

Tajemnicze Zagłębie

Na tydzień przed inauguracją sezonu przy zespole z Sosnowca jest sporo znaków zapytania.

Sosnowczanki mocno odmieniły skład. Niewiele wiadomo o okresie przygotowawczym – nie uczestniczyły w żadnych turniejach, nie ma informacji o grach sparingowych.

– Pełny skład mamy dopiero od piątku, bo wtedy dołączyły do nas dwie reprezentantki Polski w baskecie 3x3, które uczestniczyły w niedawnych MŚ U-23 w Mongolii. Kilka dni wcześniej dołączyła też jedna z Amerykanek – wyjaśnia Arkadiusz Baliński, nowy prezes sosnowieckiego klubu.

Okazuje się, że MB Zagłębie ma za sobą trzy sparingi, o których nie informowano. W minionym tygodniu w Sosnowcu gościła czołowa drużyny czeskiej ekstraklasy SBS Ostrawa i łatwo wygrała 69:49. Sosnowiczanki zagrały także dwa sparingi z niedawnymi mistrzyniami kraju, AZS UMCS Lublin. Mecze na prośbę zespołu gości były zamknięte dla publiczności, a wyników nie podawano. Jedno spotkanie wygrały „Akademiczki", w rewanżu lepsze było MB Zagłębie. W tym tygodniu zespół wyjedzie do Wrocławia, gdzie rozegra sparing z tamtejszą Ślęzą.

Jakie cele przed zespołem stawia kierownictwo klubu? – W lidze chcemy co najmniej powtórzyć wynik z ostatniego sezonu, gdy zajęliśmy piąte miejsce. W krajowym pucharze, który rozgrywany będzie w naszej hali, marzy nam się awans do finału i powalczenie o czołowe lokaty – zapowiada szef klubu. – Chcemy też powalczyć o sukces w lidze 3x3. Nasz zespół wywalczył awans do lutowego turnieju finałowego. Mamy w składzie dwie kadrowiczki, więc jestem dobrej myśli – dodaje prezes Baliński.

Trenerem zespołu pozostał Jordi Aragones. Hiszpan pracuje w klubie od sezonu 2020/21. Zaczynał jako asystent i trener przygotowania motorycznego za rządów Adama Kubaszczyka, ale jeszcze pod koniec tamtych rozgrywek samodzielnie poprowadził Zagłębie. W sezonie 2022/23 doprowadził zespół do historycznego czwartego miejsca w lidze oraz zapewnił możliwość gry w europejskich pucharach. To najlepszy wynik w historii MB Zagłębie. Aragones jest także odpowiedzialny za przygotowanie motoryczne żeńskiej drużyny narodowej Hiszpanii.

Ze starego składu w Sosnowcu zostały tylko Klaudia Wnorowska i Alicja Jarząb. Sprowadzono kadrowiczkę Kamilę Borkowską, jest duża grupa zawodniczek z zagranicy – Amerykanki Keondria Calloway i Taylor Soule, Litwinka Gabby Nikitinaite oraz Bułgarka Maria Kostourkova.

9 października Zagłębie zagra pierwszy mecz w europejskich pucharach. Rywalem będzie belgijski Kangoeroes Mechelen. W tej grupie gra też łotewski TTT Ryga. Jednak grupa I wciąż nie jest kompletna, bo trwają mecze kwalifikacyjne. Bardzo prawdopodobne, że rywalem Zagłębia będzie Dinamo Sassari. Zespół z Włoch pokonał w pierwszym spotkaniu grecki PAS Giannina.

Kibice pytają także, gdzie będzie grać ich zespół. Okazuje się, że w dwóch obiektach. Spora część sezonu zasadniczego zostanie rozegrana w starej hali przy ulicy Żeromskiego. Natomiast mecze w ramach EuroCup oraz ligowy play off odbywać się już będą w nowej Arenie Sosnowiec w Zagłębiowskim Parku Sportowym.

Inauguracyjny mecz ligowy Zagłębie zagra 5 października w Sosnowcu. Rywalem będzie Basket 25 Bydgoszcz.

(pp)



Fot. AdamStarszynski/PressFocus

Jordi Aragones nadal będzie prowadził drużynę, ale skład przeszedł rewolucję.

Staro

To będzie pojedynek wagi ciężkiej – przekonuje Artur Popko, prezes Polskiej Ligi Siatkówki.

SUPERPUCHAR POLSKI

Aluron CMC Warta Zawiercie i Jastrzębski Węgiel zmierzą się dzisiaj w katowickim „Spodku" (początek o godzinie 18.00) o Superpuchar Polski. Zwłaszcza dla Michała Winiarskiego, trenera „Jurajskich rycerzy", to hala magiczna. Właśnie w niej w 2014 roku wraz z reprezentacją Polski wywalczył mistrzostwo świata. Po 10 latach znów ma szansę na wywalczenie w niej kolejnego trofeum, tym razem jednak w innej roli. – „Spodek" zawsze dobrze mi się kojarzy. Dlatego cieszę się, że o pierwsze trofeum w sezonie zagramy w Katowicach. Tutaj atmosfera jest niepowtarzalna. Mówi się często, że „Spodek" odleciał i mam nadzieję, że tak będzie w środę – przekonuje opiekun Aluron CMC Warty.

Spotkanie zapowiada się arcyciekawie, bo i staną przeciwko sobie ekipy, które w poprzednim sezo-

NIESAMOWITA CAT

KOLARSTWO

■ Brytyjka Cat Ferguson zdobyła w Zurychu tytuł mistrzyni świata juniorek w jeździe indywidualnej na czas. 18-latka nie dała szans rywalkom. Na liczącej blisko 19 km trasie srebrną medalistkę, Słowaczkę Viktorię Chladonovą, wyprzedziła o 34 sekundy, a trzecią w klasyfikacji swoją rodaczkę Imogen Wolff – o 36.
– To niesamowite! – cieszyła się Ferguson. – Rozczarowanie, jakiego doświadczyłam rok temu, czyni tę tęczową koszulkę jeszcze bardziej wyjątkową – podkreślała zawodniczka, która w poprzednich mistrzostwach, które odbywały się na brytyjskich szosach, była 10. w czasówce i druga w wyścigu ze startu wspólnego.
Dwie startujące we wtorek Polki zajęły miejsca w trzeciej dziesiątce. Nadia Hartman wykręciła 22. czas, a Weronika Wąsaty – 30.
Na środę zaplanowano jazdę drużynową na czas sztafet mieszanych.

Wyniki: juniorki (Zurych - Zurych, 18,8 km): 1. Cat Ferguson (Wielka Brytania) 23.49, 2. Viktoria Chladonova (Słowacja) strata 34 s., 3. Imogen Wolff (Wielka Brytania) 36 ... **22. Nadia Hartman 1.57, 30. Weronika Wąsaty 2.19.** **(g)**

Wszystkie ręce do pomocy

Trwa wielka akcja solidarności z Pogonią Prudnik.

Prudniczanie sezon na drugoligowych parkietach mieli rozpocząć już w najbliższy weekend. Na inaugurację zaplanowano spotkanie z Akademią Koszykówki Stal II Ostrów Wielkopolski. Mecz miał się odbyć w Hali Obuwnik w Prudniku. To na pewno się nie uda. Obiekt został zalany i zdewastowany przez powódź. Straty są ogromne.

„Nie wiemy, gdzie będziemy rozgrywali mecze. Chcieliśmy uspokoić naszych fanów. Zarówno seniorzy, jak nasi wychowankowie z Akademia Pogoń Mini Basket przystąpią do rozgrywek. Władze naszego klubu robią wszystko, abyśmy w nich wystartowali. Na pewno pierwszy mecz II ligi grupy D z rezerwami Stali zostanie przełożony (o nowej dacie poinformujemy w osobnym komunikacie). Cały czas szukamy hal i dziękujemy za oferty. Prowadzimy rozmowy z przedstawicielami Gminy, Starostwa oraz władz lig (PZKosz oraz SLKosz), aby znaleźć odpowiednią halę zgodną ze standardami i planujemy zmienić terminarze gospodarzy meczów" – informuje kibiców za pomocą swoich mediów społecznościowych klub z Prudnika.

Klub oszacował straty i zorganizował zbiórkę, z której pieniądze chce przeznaczyć na odbudowę obiektu.

„Z pewnością wielu z Was słyszało o sytuacji, która spotkała nasz klub oraz miasto. Nasz dom, którym była od przeszło 30 lat Hala Obuwnik, gdzie rozgrywaliśmy niejednokrotnie najlepsze mecze biało-niebieskich w historii, a także gościliśmy wiele drużyn oraz ich kibiców, niestety po przejściu ogromnej fali powodziowej w naszym mieście, nie nadaje się do użytku. W naszej hali swoje zdolności koszykarskie rozwijały także dzieci, które uwielbiały ten sport i chętnie uczęszczały na treningi. Pomóżcie dalej realizować ich marzenia. Utraciliśmy sprzęt sportowy, stroje sportowe i dużo innego sprzętu – komputery, drukarki, ale przede wszystkim chcemy pomóc jak najszybciej przywrócić halę do treningów i rozgrywek" – czytamy na portalu zrzutka.pl.

Klub chce zebrać 100 tysięcy złotych. Po kilku dniach od rozpoczęcia zbiórki na koncie jest już połowa tej kwoty!

Z pomocą ruszyło całe koszykarskie środowisko. Fundacja Marcina Gortata wpłaciła 25 tysięcy złotych na rzecz Akademii Pogoń Mini Basket. Dyrektor Anwilu Włocławek przekazał, że jego klub zorganizuje mecz charytatywny, z którego dochód zostanie przekazany dla Pogoni. Ruszyły liczne licytacje: do wygrania między innymi koszulka Adama Waczyńskiego, buty Jana i Szymona Wójcików (synowie śp. Adama Wójcika) czy koszulka z podpisami mistrzów Polski z Sopotu.

Pomocną dłoń w kwestii treningów wyciągnął klub Weegree AZS Politechnika Opolska, który zaproponował, aby koszykarze Pogoni trenowali w hali Politechniki Opolskiej przy Prószkowskiej w Opolu. Tym samym Pogoń wznowi treningi.

(pp)

W Bę

Pewna wygrana 3:0 w Będzinie pokazała, że drzemie w waszej drużynie spory potencjał. Powalczycie o mistrzostwo Polski?

– Przyjechaliśmy do Będzina z nastawieniem, że chcemy zaprezentować swoją siatkówkę, a także poprawić mankamenty. Nasz trener dużo rotował w składzie, dał szansę rezerwowym. Widać było, że mamy „szeroką ławkę" i to bardzo cieszy. A co do tego, o co powalczymy, jakie są cele, to jest stanowczo za wcześnie, by głośno o tym mówić.

Sport 947512eaad

cie tytanów



Fot. MM

Marcelo Mendez i Benjamin Toniutti oraz Mateusz Bieniek i Michał Winiarski liczą na wywalczenie Superpucharu Polski.

nie rządziły na krajowych parkietach, dzieląc się najważniejszymi tytułami. Jastrzębski Węgiel zdobył mistrzostwo kraju, pokonując w finale Aluron CMC Wartę, Puchar Polski przypadł zaś ekipie z Zawiercia, która w finale ograła... Jastrzębski Węgiel. – To będzie pojedynek wagi ciężkiej – nie ma wątpliwości Artur Popko, prezes Polskiej Ligi Siatkówki, od 2012 oku organizatora spotkań o Superpuchar Polski. – W meczu zagra aż ośmiu medalistów igrzysk olimpijskich w Paryżu, co świadczy o randze naszej ligi. Będzie to rewanż za mistrzostwo i Puchar Polski – dodaje.

W porównaniu z poprzednimi rozgrywkami oba zespoły mocno się zmieniły, zwłaszcza Jastrzębski Węgiel. Odeszło aż jedenastu zawodników, w tym trzech kluczowych. – Dla nas każdy mecz jest bardzo ważny, również ten o Superpuchar. Mamy nową drużynę, nową grupę graczy i dla nich wywalczenie pierwszego trofeum w nowych barwach będzie szczególnie ważne – podkreśla Marcelo Mendez, trener mistrzów Polski z Jastrzębia-Zdroju. – To, że gramy o Superpuchar Polski świadczy, że mieliśmy fantastyczny poprzedni sezon. To ogromne wyróżnienie. Spodziewam się trudnego meczu, bo po drugiej stronie siatki stanie bardzo mocna drużyna. Zrobimy jednak wszystko, by puchar pojechał do Jastrzębia – dodaje Benjamin Toniutti, kapitan Jastrzębskiego Węgla.

- To pierwsze trofeum w sezonie i każdy będzie chciał je wygrać. Spotkają się dwa zespoły z topu. Kluczem będzie dyspozycja dnia, ale mam nadzieję, że to my zdobędziemy trofeum – odpowiada mu Mateusz Bieniek, kapitan Aluronu CMC Warty, który jutro jednak nie wystąpi. Wciąż leczy kontuzję, ale powrót na parkiet jest coraz bliżej.

– Mamy nową grupę zawodników i ten mecz pokaże nam, w którym miejscu jesteśmy. Choć debiutujemy w spotkaniu o Superpuchar, to zrobimy wszystko, by to trofeum pojechało do Zawiercia – podsumowuje Winiarski.

Jastrzębski Węgiel po raz czwarty z rzędu zagra o Superpuchar Polski. W 2021 i 2022 roku wygrywał z Grupą Azoty ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle, a rok temu przegrał z nią po dramatycznym meczu 2:3. Zespół z Zawiercia jest natomiast debiutantem.

Organizatorzy liczą, że mecz obejrzy około 10 tysięcy widzów. Bilety jeszcze są do nabycia, ale tylko na górne miejsca. Jeśli ktoś będzie chciał je kupić tuż przed meczem, z powodu remontu otwarta będzie kasa nr 2, a nie jak zwykle nr 1.

(mic)

Bariera mentalna

Od pewnego czasu mamy wrażenie, że siatkówka jest niechcianym dzieckiem w Katowicach.

GKS KATOWICE

Kwaśne miny i szukanie okazji, by jak najszybciej czmychnąć do szatni, zaś nieliczni rozmówcy, z racji swoich obowiązków, byli poirytowani, a słowa, które padały, były pełne goryczy – tak prezentował się GKS-u Katowice po tęgim laniu z PSG Stalą Nysa 0:3. Goście po raz pierwszy wygrali w szopienickiej hali w takich rozmiarach i mieli powody do zadowolenia. Przecież w ostatnim czasie los sprawił, że siatkarze z Nysy oraz ich kibice więcej myśleli o ratowaniu miasta przed powodzią niż o sportowej rywalizacji. – Zagraliśmy dla mieszkańców miasta i nie tylko. To zwycięstwo im dedykujemy i mam nadzieję, że w miarę szybko wrócimy do normalności – nie krył radości po wygranej trener przyjezdnych, Daniel Pliński.

Tylko i aż...

W poprzednim sezonie siatkarze GKS-u zaliczyli serię ośmiu porażek z rzędu. Teraz zaczęli od trzech, a w najbliższej perspektywie mają potyczki z niezwykle wymagającymi rywalami z Jastrzębia-Zdroju oraz z Zawiercia.

– To niezwykle trudna sytuacja, bo za nami trzecia porażka bez wygranego seta – mówi kapitan zespołu, Bartosz Mariański. – W tym momencie mamy zdecydowanie większy problem mentalny niż siatkarski. Po raz kolejny prowadzimy w secie 22:20 i tej dogodnej sytuacji nie potrafimy wykorzystać. Rywal doprowadza do remisu i w rezultacie wygrywa. A w kolejnej odsłonie już byliśmy całkowicie rozbici, nie byliśmy skupieni na grze i stąd też taki wynik. Wiedzieliśmy, że ligowa rywalizacja będzie piekielnie trudna i zdajemy sobie sprawę, że, dla przykładu, dziesięć porażek eliminuje nas z czegokolwiek.

– Nie możemy tak się prezentować, bo przecież w każdy elemencie ustępowaliśmy rywalom – dodaje trener Grzegorz Słaby, trzęsąc się ze złości. – Dostaliśmy taki wpie..., że nie ma o czym gadać.

Szersza perspektywa

Zespół musi się szybko odbudować. Ba, ale jak to zrobić? W najbliższej perspektywie czekają go bowiem dwa spotkania z tuzami tej ligi i urwanie seta można będzie uznać za sukces. A przecież tutaj są potrzebne bezcenne punkty!

– By oceniać naszą sytuację, trzeba mieć szerszą perspektywę niż te trzy przegrane mecze – mocno akcentuje szkoleniowiec GKS-u. – Należy spojrzeć, jak ta sekcja się rozwija lub też nie rozwija przez ostatnie lata. Co roku jest wymieniany niemal cały skład, zaś od czterech lat, gdy prowadzę samodzielnie zespół, miałem aż sześciu rozgrywających. To nie są usprawiedliwienia, ale rzeczywistość, w jakiej pracujemy! W każdym sezonie potrzebujemy czasu, by odpowiednio funkcjonować. Ale teraz go nie mamy, bo aż trzy zespoły żegnają się z PlusLigą. Oczywiście, że odbiór naszych wyników jest negatywny. Niemniej ani zawodnicy, ani przede wszystkim ja nie uciekam od odpowiedzialności. Wszystkim skupionym wokół sekcji zależy, byśmy wyszli z trudnej sytuacji i dołożymy wszelkich starań, by tak się stało. Chciałbym, by jednak wszyscy spojrzeli na siatkarski GKS bardziej wnikliwie i analitycznie. Wszyscy przeżywamy nasze porażki, ale mogę zapewnić, że ze swej strony dołożymy wszelkich starań, by wyjść z tej trudnej sytuacji.

Trener Słaby ma prawo czuć się zdruzgotany, bo przecież jest mocno zaangażowany w pracę. Jednocześnie od pewnego czasu mamy wrażenie, że siatkówka jest niechcianym dzieckiem w Katowicach. Zamiast się rozwijać, to z roku na rok usycha i może podzielić los klubów z Bydgoszczy czy ostatnio Radomia.

Wyjście z zaułka

Katowiczanie w okresie przygotowawczym prezentowali się więcej niż przyzwoicie i wyglądało to obiecująco. Kiedy jednak przyszła gra o punkty, nagle wszystkich ogarnął stres, z którego nikt nie może się wyzwolić. Trudno marzyć o wygranej, gdy popełnia się aż 26 błędów (18 rywale), zespół źle przyjmuje, a serwis jest tylko z nazwy. Można byłoby wymieniać pozostałe elementy, ale po co, skoro wszyscy wiemy, jakie są wyniki.

– Nie ma się gdzie odbudować, bo przecież gramy z Jastrzębiem i Zawierciem – martwi się trener Słaby. – Na pewno będziemy się wspierać i chcemy pokazać lepszą grę. Nie wiem, co nam to przyniesie, bo przecież zespół jest mało doświadczony.

– Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, co z tym fantem zrobić – dodaje kapitan Mariański.

– Chyba trzeba będzie tupnąć nogą z racji swoich obowiązków. Może to pomoże najpierw wygrać seta, a potem mecz.

Minorowe nastroje panują w GKS-ie, a tymczasem w Stali sielanka, bo przecież siatkarze, z wiadomych względów, długo czekali na ligową inaugurację.

– Mieliśmy cztery dni przerwy w treningach, a to sporo dla profesjonalisty. Wyszliśmy na boisko pozytywnie zmotywowani i zagraliśmy serduchem – cieszył się trener Pliński.

Przed katowicką ekipą niezwykle trudny czas i oby tylko zdołała przełamać kryzys. Niewielki dochód z meczu z uwagi na niewielu widzów był przeznaczony dla powodzian, ale prezes GKS-u Krzysztof Nowak zapowiedział, że klub również dorzuci się do tej kwoty.

Włodzimierz Sowiński

ędzinie jest atmosfera

Rozmowa z **Janem Firlejem**, rozgrywającym PGE Projektu Warszawa

Mimo wszystko wasza gra i wyniki robią wrażenie. Trzy mecze i trzy zwycięstwa bez straty seta. Zachowaliście „kręgosłup" z poprzedniego sezonu, dokładając wartościowe transfery i stabilizację. Rywale muszą się mieć na baczności!

– To prawda, jest stabilność, widać, że mamy jeszcze pewne rezerwy. Z drugiej strony cieszy to, że potrafimy wygrywać po 3:0. Chcemy się rozpędzać z każdym meczem, grać coraz lepiej.

Czy mecz z beniaminkiem z Będzina, wygrany bez szczególnego wysiłku, był w tym sezonie najłatwiejszy?

- Nie wiem, czy był najłatwiejszy. Przede wszystkim staramy się cały czas poprawiać swoją grę, rotować składem. Co zresztą nasz trener robił, zarówno na krótszym dystansie – podwójne zmiany – czy stosując pełniejsze zmiany w dłuższym wymiarze czasowym. Cieszy wygrana w trzech setach, bo mecz toczył się cały czas pod nasze dyktando.

Kluczem do sukcesu było z pewnością wyłączenie z gry Brandona Koppersa, zazwyczaj bardzo silnego punktu Będzina w ataku. Analiza gry rywala ze strony waszego sztabu dużo dała?

– Trener uczulał nas, że Będzin rozegrał dobre, zwycięskie spotkanie w Katowicach, a teraz będzie chciał w domu otworzyć sezon z wysokiego „C". Ale od początku narzuciliśmy swój styl gry, nie czekając na to, co zrobi rywal. Po prostu prowadziliśmy grę, a uwagi sztabu były bardzo pomocne.

Już niedługo czekają was zmagania w Lidze Mistrzów, w której z pewnością zmierzacie zajść bardzo wysoko. Jest już dreszczyk emocji?

– Listopad to będzie Liga Mistrzów i super, że udało się załatwić pewne sprawy organizacyjne. Będziemy w niej grali na miejscu, w Warszawie, przed swoją fantastyczną publicznością. Nie możemy się tego doczekać...

W Będzin Arenie na trybunach zameldowało się blisko 2,5 tysiąca kibiców i hala była wypełniona. Większość przyszła, by oklaskiwać swoją drużynę, ale byli i tacy, którzy chcieli obejrzeć medalistów olimpijskich. Lubicie grać przy dużej, żywiołowo reagującej widowni?

– Jasne. Miałem przyjemność grać w tej hali pierwszy raz i to była supersprawa. Piękny obiekt, świetna atmosfera. Dziękuję też naszym kibicom, że przyjechali nas wspierać. Nic tylko grać przy pełnych trybunach, to dla nas wielka przyjemność

Jak dużo daje wam gra przy pełnych trybunach, bliski kontakt z kibicami? Ligę Mistrzów zagracie w Warszawie i to może być spory atut...

- W Lidze Mistrzów z każdym zespołem chcielibyśmy grać u siebie i to jest już załatwione. Fajnie, że tak będzie, przyjdzie multum ludzi, głośny doping na pewno nas poniesie. Pokazał to mecz z ZAKSĄ, gdzie praktycznie pełne trybuny były z dostawkami na Torwarze. Mam nadzieję, że w Lidze Mistrzów będą komplety, a my postaramy się kibicom odpłacić dobrą grą i dobrym wynikiem sportowym.

Rozmawiał Jerzy Mucha

Sport 947512eaad

Dramatyczna końcówka

JKH wygrał dwie tercje, ale punkty pojechały do Katowic.

Przed rozpoczęciem obecnego sezonu kluby z Jastrzębia Zdroju i Katowic dokonały prawdziwej rewolucji kadrowej. Z drużyny Roberta Kalabera odeszło aż 17 hokeistów, a GieKSa „pozbyła się" 11 zawodników. W zespole gospodarzy ponownie zabrakło reprezentacyjnego obrońcy Kamila Górnego oraz napastnika Jakuba Ślusarczyka, którzy zmagają się z kontuzjami, a także napastnika Jana Sołtysa, którego w meczowej kadrze zastąpił 20-letni Dawid Wawrzkiewicz. Wrócił natomiast do składu fiński obrońca Aleksi Makela, który nie zagrał w niedzielnym meczu z Re-Plastem Unią w Oświęcimiu. W szeregach gości zabrakło reprezentacyjnego obrońcy Arkadiusza Kostka (jeszcze w poprzednim sezonie grał w JKH), którego zmogła choroba.

W I tercji na „Jastorze" korzystniejsze wrażenie robili goście, chociaż ich przewaga w strzałach była minimalna (11-10). Katowiczanie starali się regulować tempo meczu, ale to gospodarze zmusili Johna Murraya do kapitulacji. W 18 min dynamiczny kontratak przeprowadzili Szymon Kiełbicki i Martin Kasperlik, następnie krążek trafił na kij Emila Bagina czekającego na prawym buliku. Słowak miał czas i miejsce, by dokładnie przymierzyć i posłać „gumę" w okienko bramki Murraya.

Jastrzębianie w tej odsłonie mieli jeszcze dwie dogodne okazje, by skorygować wynik, ale w 5 min Mark Kaleinikovas „ostemplował" słupek, zaś w 13 min Fin Teemu Pulkkinen przegrał sam na sam z bramkarzem GKS-u.

W 2. tercji już nie było wątpliwości, który zespół jest lepszy. Po strzałach katowiczan bramkarz JKH Jakub Lacković czterokrotnie wyciągał krążek z siatki i sprawa wyłonienia zwycięzcy była praktycznie przesądzona. Drugiego gola gospodarze stracili, gdy karę dwóch minut odsiadywał Aleksi Varttinen, zaś trzecią bramkę podopieczni Jacka Płachty zdobyli w podwójnej przewadze, gdy na ławce kar „odpoczywali" Vrasislav Kunst i Aleksi Makela. Gol Sokaya tylko potwierdził dominację katowiczan.

Mecz nieoczekiwanie nabrał rumieńców w końcówce 3. tercji, gdy zespół JKH skorygował wynik na 3:4. Nadzieję w serca kibiców gospodarzy wlał kapitan zespołu Maciej Urbanowicz, a potem - gdy na ławce kar siedzieli Dante Salituro i Benjamin Sokay - Taneli Ronkainen strzałem z prawego bulika po raz trzeci zaskoczył Murraya. Złudzenia kibiców o dogrywce rozwiał Kacper Maciaś, jego strzał odbił parkanem Lacković, a krążek „wystrzelił" w górę i za plecami bramkarza wpadł do siatki.

Bogdan Nather



Fot. PAP/Jarek Praszkiewicz

Fin Hannu Kuru (z prawej) i Ben Sokay zapisali punkty, ale po meczu cieszył się tylko Kanadyjczyk.

JKH GKS Jastrzębie - GKS Katowice 3:5 (1:0, 0:4, 2:1)

1:0 - Bagin - Kasperlik - Kiełbicki (17:07), 1:1 - Fraszko - Pasiut - Bepierszcz (24:11), 1:2 - Verveda - Anderson - Runesson (26:45, w osłabieniu), 1:3 - Salituro - Anderson - Fraszko (33:43, w podwójnej przewadze), 1:4 - Sokay - Smal - Kallionkieli (38:34), 2:4 - Urbanowicz - Żurek - Ł. Nalewajka (49:47), 3:4 - Ronkainen - Kuru (54:13, w podwójnej przewadze), 3:5 - K. Maciaś - Varttinen - Sokay (58:08).

Sędziowali: Krzysztof Kozłowski i Mateusz Krzywda oraz Michał Kret i Michał Żak. Widzów 480.

JKH: Lacković; Bagin - Żurek, Makela (4) - Ronkainen (2), Hanzel (2) - Kunst (2), Blomberg - Onak; Kral - Kiełbicki - Kasperlik, Pulkkinen - Kuru - Kaleinikovas, R. Nalewajka - Petrasz - Urbanowicz, Zając - Ł. Nalewajka - Wawrzkiewicz. Trener Robert KALABER.

GKS: Murray; K. Maciaś - Verveda, Koponen - Varttinen (2), Englund (4) - Runesson, Chodor - Rydstrom; Fraszko (2) - Pasiut - Salituro (2), Biepierszcz - Anderson - Michalski, Kallionkieli (2) - Sokay (2) - Smal, Kowalczuk - Dawid - Hofman. Trener Jacek PŁACHTA.

Kary: JKH - 10 min, Katowice - 16 min (2 techn.).

CZEMU TO MA SŁUŻYĆ?

Fakt, iż Cracovia, podobnie jak Unia, zdobyła w nowym sezonie komplet punktów, w zasadzie nikogo nie dziwi, ale to, że sanoczanie w czwartym meczu z pięciu rozegranych (przegranych) nie zdobyli gola, jest już nie do przyjęcia i stawia pod znakiem zapytania utrzymywanie tak „licznej" (i to nieparzystodrużynowej) ekstraligi...

Comarch Cracovia - Texom STS Sanok 6:0 (1:0, 2:0, 3:0)

1:0 - Wahlgren - Kruczek - Younan (7:11), 2:0 - Brandhammar - Olsson - Brynkus (21:45, w przewadze), 3:0 - Lundgren - Younan (27:11), 4:0 - J. Bukowski - Wanacki (42:35), 5:0 – Brandhammar - Jaśkiewicz (55:15, w podwójnej przewadze), 6:0 - Bieniek - Wanacki - J. Bukowski (57:00, w przewadze)

Sędziowali: Bartosz Kaczmarek - Robert Długi i Mateusz Kucharewicz - Zachariasz Kadela. Widzów 400.

CRACOVIA: D'Orio; Jaśkiewicz - Brandhammar, Younan - Kruczek, Bieniek - Wanacki, Mętel - Kamieniew; Johansson - Olsson - Brynkus, Kapica - Wahlgren - Lundgren, Marzec - Jarosz - J. Bukowski (2), Mocarski - Sterbenz - Bezwiński (2). Trener Marek ZIĘTARA.

STS: Świderski; Tamminen (2) - Biłas, Florczak (2) - Karlsson, Musioł - Niemczyk, Rocki - Ginda; Bryzgałow (4) - Thomson - Henderson, K. Bukowski - Karnas - Huhdanpaa, Filipek (2) - Sienkiewicz - Strzyżowski, Czopor - Musioł (2) - Dobosz. Trener Elmo AITTOLA.

Kary: Cracovia - 4 min, STS - 12 min.

TAURON HOKEJ LIGA

1. Comarch Cracovia	4	12	24:9	4	-
2. Re-Plast Unia Oświęcim (m)	4	12	14:8	4	-
3. GKS Tychy (p)	4	9	15:4	3	1
4. JKH GKS Jastrzębie	5	6	17:18	2	3
5. KH Energa Toruń	5	6	13:14	2	3
6. GKS Katowice	4	6	11:12	2	2
7. EC Będzin Zagłębie Sosnowiec	5	6	10:15	2	3
8. Podhale Nowy Targ	4	3	13:20	1	3
9. Texom STS Sanok	5	0	3:21	-	5

W czwartek, 26.09., grają: GKS Katowice - Energa (18.30), a w piątek, 27.09.: STS - Podhale (18.00), Unia - Cracovia (18.00), GKS Tychy - JKH (18.00).

LICZĄ SIĘ PUNKTY!

Oświęcimianie, obrońcy tytułu mistrzowskiego, przyjechali do Torunia przekonani, że rywal nie będzie stawiał silnego oporu i srodze się zawiedli, bo Energa grała bez kompleksów. Wprawdzie pierwsza odsłona była bezbarwna, ale w drugiej kapitan gospodarzy, Robert Arrak, wykorzystał dwójkową akcję i pokonał Linusa Lundina. A potem szwedzki golkiper obronił 36 strzałów i walnie przyczynił się do zwycięstwa. Umiejętna gra w przewadze sprawiła, że Unia zdobyła komplet punktów. Najpierw Hampus Olsson po 41 sek. kary Michała Kalinowskiego wyrównał, zaś Sam Marklund na 13 sek. przed końcem wykluczenia Jesperiego Henrikssona podwyższył na 2:1. Trener gospodarzy, Juha Nurminen, w 58:12 min zdecydował się na wycofanie Mateusza Studzińskiego i 71 sek. później Erik Ahopelto ustalił wynik, posyłając krążek do pustej bramki. **(ws)**

Energa Toruń – Re-Plast Unia Oświęcim 1:3 (0:0, 1:1, 0:2)

1:0 – Arrak – Johansson (28:07), 1:1 – Olsson – Holm – Marklund (38:05, w przewadze), 1:2 – Marklund – Ackered – Olsson Trkulja (48:13, w przewadze), 1:3 – Ahopelto – Karjalainen – Heikkinen (59:23, do pustej).

Sędziowali: Wojciech Wrycza i Patryk Kasprzyk – Igor Dzięciołowski i Michał Gerne. Widzów 814.

ENERGA: Svensson (48:13. Studziński); A. Johansson – Jaworski, Svars – Schafer, Lawlor – Henriksson, Gimiński – Zieliński; K. Kalinowski – Arrak – Napiórkowski, Worona (2) – Fjodorows – Kwiatkouski, Persson – Vahatalo – Maćkowski, Kogut – Prokurat – M. Kalinowski (2). Trener Juha NURMINEN.

UNIA: Lundin; Diukow – Bezuszka, Uimonen – Vertanen, Ackered – Soederberg (2), Noworyta – Prokopiak; Olsson – Dziubiński – Krzemień, Karjalainen – Heikkinen – Ahopleto, Marklund – Olsson Trkulja – Holm, Prusak – Galant – Łoza. Trener Nik ZUPANCIĆ.

Kary: Energa – 4 min, Unia – 2 min.

SŁOWA UZNANIA

Zespoły Podhala i Zagłębia poszły na całość i dostarczyły widzom sporo emocji. Goście bardziej zdyscyplinowani taktycznie już w 26 min prowadzili 4:0, bo wykorzystali m.in. potknięcia bramkarza gospodarzy Pawła Bizuba. Natomiast Patrik Speszny spisywał się wręcz rewelacyjnie. Listę strzelców, jak przystało na kapitana, otworzył Michal Kotlorz, a potem dwa gole przyjezdni zdobyli w przewadze po uderzeniach Ilii Korenczuka oraz Michała Bernackiego. W 31 min Aleksander Boivin jednak znalazł sposób i zdołał pokonać Speszngo. Goście znaleźli się w opałach, bo w 37 min przez 54 sek. grali w podwójnym osłabieniu (w boksie Jakub Szaur i Nikita Bucenko), jednak doskonale się bronili i mieli powody do zadowolenia. Gdy Robert Mrugała w 27 sek. III tercji pokonał Speszngo, w boksie sosnowieckiego zespołu zrobiło się nerwowo. W 51 min na ławce kar usiedli Mirko Djumići Michał Naróg. Gospodarze grali przez 77 sek.(!) z przewagą dwóch zawodników i nie zdobyli gola! Za te dwa ważne momenty zespołowi trenera Piotra Sarnika należą się słowa uznania. W 58:10 min bramkarz Bizub zjechał z lodu, zaś 33 sek. później Radosław Sawicki z własnej strefy posłał krążek do pustej bramki. **(sow)**

Podhale Nowy Targ – EC Będzin Zagłębie Sosnowiec 2:5 (0:2, 1:2, 1:1)

0:1 – Kotlorz – Korenczuk – Djumić (10:56), 0:2 – Korenczuk – Naróg (15:32, w przewadze), 0:3 – Bernacki – Sozanski (24:30, w przewadze), 0:4 – Karasiński – Menc – Naróg (25:13), 1:4 – Boivin – Dupuy – Pangiełow-Jułdaszew (30:46), 2:4 – Mrugała – Neupauer (40:27), 2:5 – Sawicki (58:43, do pustej).

Sędziowali: Paweł Kosidło i Wojciech Czech – Piotr Kot i Artur Hyliński. Widzów 950.

PODHALE: Bizub; Kolusz – Mrugała, Pangiełow-Jułdaszew – Załamaj, Wajda - Tomasik, Horzelski; Wielkiewicz – Wronka (2) – Neupauer, Dupuy – Boivin – Densykin, Bochnak (2) – Zeman – Mroczkowski, Jarczyk – Słowakiewicz – Kamiński. Trener Marek BATKIEWICZ.

ZAGŁĘBIE: Speszny; Charvat – Kotlorz, Sozanski – Szaur (2), Andrejkiw – Naróg (2); Krężołek – Tyczyński – Szturc, Kaczyński - Viikila – Bernacki, Djumić (2) – Sawicki – Korenczuk, Menc – Bucenko (2) – Karasiński. Trener Piotr SARNIK.

Kary: Podhale – 4 min, Zagłębie - 8 min.

Badania jeszcze trwają

SKOKI NARCIARSKIE

Kamil Stoch wciąż czeka na ostateczną diagnozę, jak poważna jest kontuzja, której doznał na Wielkiej Krokwi.

W ramach przygotowań do nowego sezonu Kamil Stoch trenował w Zakopanem. W ubiegły czwartek po dalekim skoku – niektóre doniesienia mówiły, że lądował w okolicach 150 metra – poczuł ból i zszedł ze skoczni. Polski Związek Narciarski przekazał w swoim komunikacie: „Na ten moment nie wiemy, jak poważne było to zdarzenie. Dalsza diagnostyka i badanie rezonansem magnetycznym zaplanowane są na poniedziałek".

Portal WP dowiedział się, że w środę nasz trzykrotny mistrz olimpijski spotka się z wybitnym ortopedą i chirurgiem, Aleksandrem Winiarskim. Po tym spotkaniu powinna być już znana dokładna diagnoza.

Prezes PZN, Adam Małysz, jest optymistą, mówiąc dla Onetu: „Tragedii chyba jednak nie ma, ale Kamil musi odpuścić ze dwa tygodnie ciężkiego treningu. Tak to wygląda na pierwszy rzut oka". Potwierdził to wczoraj Alexander Stoeckl, dyrektor ds. skoków narciarskich i kombinacji norweskiej w PZN. – Na szczęście kontuzja Stocha nie okazała się bardzo poważna. Rezonans magnetyczny pokazał niewielki problem. Wewnętrzne więzadło boczne w prawym kolanie ma niewielkie, częściowe pęknięcie. Poza tym kolano jest w porządku. Kamil rozpocznie rehabilitację, gdy tylko zejdzie opuchlizna, a czas rekonwalescencji szacujemy na około cztery tygodnie. Życzymy Kamilowi wszystkiego najlepszego i mamy nadzieję, że wkrótce wróci do dobrej formy.

Oczywiście w tej sytuacji Stoch nie mógł być brany pod uwagę przy ustalaniu składu na przedostatnie konkursy Letniej Grand Prix w austriackim Hinzenbachu, które odbędą się w nadchodzący weekend (28 i 29 września). Polski Związek Narciarski przekazał, że trener Thomas Thurnbichler zabierze tam Pawła Wąska – wicelidera klasyfikacji generalnej LGP, Kacpra Juroszka, Dawida Kubackiego i Jakuba Wolnego.

(awa)

Sport 947512eaad

Sabalenka celuje w jedynkę

Iga Świątek panuje już 122. tydzień w światowym rankingu i utrzyma tę pozycję przynajmniej do 7 października, ale Aryna Sabalenka będzie ostro naciskać.

To jeden z moich celów, zakończyć sezon na pozycji numer 1 na świecie – odgraża się Aryna Sabalenka, wiceliderka rankingu WTA i główna faworytka do zwycięstwa w ruszającym w środę China Open.

Białorusinka „poczuła krew", zwłaszcza po tym, jak ze startu w „tysięczniku" w stolicy Chin zrezygnowała „z powodów osobistych" liderka rankingu WTA, Iga Świątek, który wygrała turniej rok temu. To zapowiada zaciętą matematyczną rywalizację dwóch czołowych tenisistek o prestiżowe miano światowej jedynki na koniec roku.



Fot. Oscar Gonzalez/SIPA USA/PressFocus

W najbliższych tygodniach czeka nas emocjonująca rywalizacja Polki i Białorusinki o miano najlepszej tenisistki świata.

Przewaga stopnieje

Absencja w Pekinie oznacza, że po turnieju w rankingu WTA Tour – obejmującym ostatnie 12 miesięcy (czyli od 7 października 2023 do 6 października 2024) – Polka straci 1000 pkt, bo na tyle wyceniane jest zwycięstwo w tej imprezie. Z jej konta, które dziś wciąż liczy 10855 pkt, zniknie jeszcze 100 „oczek" za ćwierćfinał turnieju w Tokio, który odbywał się pod koniec września 2023.

Obecnie podopieczna trenera Tomasza Wiktorowskiego drugą Sabalenkę wyprzedza o 2169 pkt. Białorusinka w poprzednim sezonie w Tokio nie startowała, a w Pekinie dotarła do ćwierćfinału, co dało jej 215 pkt. Jeśli tym razem zwycięży w całej imprezie, jej dorobek powiększy się o 785 pkt. W takiej sytuacji w notowaniu rankingu WTA z 7 października przewaga Świątek stopnieje do 284 „oczek".

Kluczowa data - 14 października

Po imprezie w Pekinie odbędą się jeszcze dwa istotne turnieje – już od 7 października WTA 1000 w Wuhan oraz kończący sezon WTA Finals w saudyjskim Rijadzie (2-9 listopada) dla ośmiu najlepszych tenisistek sezonu. Świątek i Sabalenka – o ile wystąpią – nie będą broniły w Wuhan punktów, więc wszystko, co tam zdobędą, powiększy ich dorobek. I po tym turnieju – 14 października – może nastąpić już zmiana liderki.

Rok temu taka roszada miała już miejsce – Sabalenka po raz pierwszy w karierze zasiadła w fotelu z numerem jeden 11 września 2023 zaraz po US Open, w którym doszła do finału, a Świątek odpadła w 4. rundzie. Panowanie Białorusinki trwało 8 tygodni – Polka wróciła na pozycję numer 1 na początku listopada, po wygraniu WTA Finals w Cancun.

Dlatego teraz Świątek jest w znacznie trudniejszej sytuacji, bo w Rijadzie będzie bronić 1500 pkt, gdy Sabalenka tylko 625 „oczek" za półfinał. I całkiem możliwy jest scenariusz, w którym Świątek wygra ponownie „mastersa", ale 26-letnia tenisistka z Mińska, dochodząc do finału, i tak odbierze jej prowadzenie na liście WTA.

Jedynka znaczy wszystko

Na początek jednak Białorusinka musi świetnie zagrać w Pekinie i – jak przyznała – to na tym się koncentruje. - Nie chcę skupiać się na zostaniu numerem jeden, a na swojej grze. Zostały tylko trzy turnieje. Próbuję po prostu pokazać na korcie swój najlepszy tenis. Po sezonie zobaczę, czy to wystarczyło, aby zakończyć rok na pozycji numer 1 na świecie, czy będę musiała coś poprawić – przekonuje Sabalenka.

12
ZWYCIĘSTW
z rzędu odniosła Aryna Sabalenka; wygrała swoje dwa ostatnie turnieje na twardych kortach – w Cincinnati i Nowym Jorku.

– Przez całe życie ciężko pracowałam, żeby dostać się do pierwszej setki, potem pięćdziesiątki, dziesiątki, wreszcie do pierwszej dwójki – dodaje. – Jeśli pewnego dnia znowu będę nazywana najlepszą zawodniczką na świecie, to znaczy wszystko. Dobrze wiedzieć, że robiłaś wszystko właściwie, że wszystkie te godziny treningów nie były stratą czasu – podkreśla Aryna.

Straci fotel za 2024?

Jeszcze trudniej będzie Świątek obronić się przed atakiem Białorusinki w roli liderki rankingu WTA Race, który wyłoni osiem uczestniczek WTA Finals. Tutaj przewaga Polki wynosi tylko 409 pkt (8285 do 7876) i wystarczy, że Sabalenka dojdzie do finału w Pekinie (wycenianego na 650 pkt), by wyprzedzić Igę w rankingu obejmującym tylko wyniki w roku 2024.

W Pekinie zagrają dwie Polki – Magdalena Fręch (31. WTA) i Magda Linette (45. WTA); jako rozstawione, w 1. rundzie mają wolny los i czekają na przeciwniczki w kolejnej fazie.

Tomasz Mucha

Historyczny wyczyn Chorwata

Grający z „dziką kartą" Marin Cilić został najniżej notowanym tenisistą światowego rankingu, który wygrał turniej w historii ATP Tour (od 1990 roku).

35-letni Chorwat, zajmujący dopiero 777. miejsce na liście ATP, zwyciężył w finale pierwszej edycji turnieju ATP 250 na kortach twardych w chińskim Hangzhou rozstawionego z nr 6 reprezentanta gospodarzy Zhanga Zhizhena (43. ATP) 7:6 (7-5), 7:6 (7-5). Tenisiści bazujący na swoim serwisie łącznie zanotowali 32 asy (18:14 na korzyść Cilicia).

Chorwat dotąd miał na koncie 20 wygranych turniejów ATP w 13 sezonach, w tym wielkoszlemowy US Open 2014, był już na 3. miejscu w rankingu (w styczniu 2018), ale ostatnio zmagał się z kontuzjami, z powodu urazu kolana nie rywalizował od lutego. Poprzedni tytuł wywalczył jesienią 2021 w St. Petersburgu.

– Ostatnie kilka miesięcy było dla mnie trudnym okresem. Straciłem ranking i nie grałem zbyt wiele. Dziękuję mojej rodzinie, synom i żonie, wszystkim, którzy byli ze mną w tym trudnym okresie. Pracowali ze mną dzień po dniu, motywowali mnie, dodawali siły ducha. Jestem szczęśliwy i dumny, że odniosłem to zwycięstwo nie tylko dla siebie, ale także dla nich – powiedział Cilić podczas ceremonii wręczenia trofeów.

Dotychczasowy „rekord" najniżej notowanego mistrza turnieju ATP należał do Australijczyka Lleytona Hewitta, który z rankingiem 550. wygrał w 1998 w Adelajdzie.

W finale innego zakończonego we wtorek chińskiego turnieju ATP, w Chengdu, rozstawiony z „jedynką" Włoch Lorenzo Musetti (19. ATP) przegrał z reprezentantem gospodarzy Junchengiem Shangiem 6:7 (4-7), 1:6. To pierwszy tytuł notowanego na 55. pozycji 19-letniego Shanga w karierze. Musetti, brązowy medalista olimpijski z Paryża, stracił szansę na trzecie trofeum w karierze, po dwóch zwycięstwach w 2022 roku – w Hamburgu i w Neapolu.

W challengerze w Orleanie Kamil Majchrzak (147. ATP) przegrał już w 1. rundzie z Haroldem Mayotem (115. ATP) 4:6, 6:4, 6:7 (1-7). Francuz wziął rewanż za porażkę sprzed kilku dni w podobnej imprezie w Saint-Tropez. **(t)**

100
EURO
za każdego asa, którego zaserwuje do końca sezonu, przekaże powodzianom Hubert Hurkacz. Urodzony we Wrocławiu najlepszy polski tenisista (8. ATP) w środę zmierzy się z Amerykaninem Marcosem Gironem w 1. rundzie turnieju ATP 500 w Tokio. W 2023 roku „Hubi" dołączył do ekskluzywnego grona dziewięciu zawodników, którzy zanotowali ponad 1000 asów w sezonie ATP Tour.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 25 WRZEŚNIA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP SPORT
14.20 Pn: Puchar Polski, Hutnik Kraków - Piast Gliwice, 16.35 Kolarstwo: MŚ w Zurychu, jazda na czas drużyn mieszanych, 17.20 Pn: PP, Korona Kielce - Stal Mielec, 20.20 Górnik Zabrze - Radomiak (na żywo), 23.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
4.00 Tenis: 1. runda ATP w Tokio, 17.45 Siatkówka: Superpuchar Polski mężczyzn, Jastrzębski Węgiel - Aluron CMC Warta Zawiercie, 20.55 Pn: Puchar Włoch, Genoa - Sampdoria, 2.25 Pn: Copa Libertadores, Sao Paulo - Botafogo (na żywo)

POLSAT SPORT 2
18.50 Koszykówka: EuroCup, Trefl Sopot - Ratiopharm Ulm (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
4.00 Tenis: 1. runda ATP w Tokio, 18.00 Pn: Liga Europy, studio i Bodo/Glimt - FC Porto, 20.50 Dynamo Kijów - Lazio (na żywo), 0.00 Skróty LE

POLSAT SPORT PREMIUM 2
18.35 Pn: LE, AZ Alkmar - IF Elfsborg, 20.50 Galatasaray - PAOK (na żywo)

EUROSPORT 1
13.50 Kolarstwo: MŚ w Zurychu, jazda na czas drużyn mieszanych, 20.30 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, Industria Kielce – Barca, 22.45 Snooker: 3. dzień British Open (na żywo)

EUROSPORT 2
14.00 Snooker: 3. dzień British Open (na żywo)

CANAL+ SPORT
18.30 Żużel: PGE Ekstraliga, półfinał Betard Sparta Wrocław - ebut.pl Stal Gorzów (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
20.55 Pn: liga hiszpańska, Barcelona - Getafe (na żywo)

CANAL+ SPORT 3
18.30 Pn: PKO BP Ekstraklasa, Motor Lublin - Jagiellonia Białystok (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
18.55 Pn: liga hiszpańska, Girona - Rayo Vallecano (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Uniwersytecka 13
Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 947512eaad

Proces namawiania

W Bydgoszczy panuje ponura atmosfera po porażce w finale 2. ekstraligi. W Rybniku natomiast czuć powiew optymizmu, ale także niepewność.

Porażka Polonii Bydgoszcz z ROW-em Rybnik jest jedną z największych niespodzianek tego roku, bo mało kto dawał szansę „Rekinom" na awans do ekstraligi, a bydgoszczanie byli faworytami w finałowej batalii na zapleczu elity. Jeszcze kilka tygodni temu prezes Jerzy Kanclerz rozmarzył się, jak będzie wyglądać zespół w ekstralidze. Przekonywał, że gdy już do drużyny dołączy Wiktor Przyjemski, Polonia może zaskoczyć. Drużyna miała nie tylko utrzymać się w najlepszej lidze żużlowej na świecie, ale także dostać się do play offu. Okazało się jednak, że rybniczanie byli nie do przeskoczenia. ROW wygrał finałowy dwumecz, przez co w Bydgoszczy nie będzie ani Przyjemskiego, ani ekstraligi.



Fot. Michał Golda/PressFocus

Brady Kurtz dostał dwie poważne oferty.

Cały misterny plan...

Jest to trudna sytuacja nie tylko dla klubu, ale także dla wspomnianego juniora, który – najprawdopodobniej – kolejny rok spędzi w Motorze Lublin. Przyjemski po sezonie 2023 zdecydował się na odejście z Polonii, której jest wychowankiem. Dołączył do ekipy mistrzów Polski, bo nie miał zamiaru marnować się na zapleczu ekstraligi. Polonia już wtedy była blisko awansu. Skoro jednak do elity się dostać nie udało, Przyjemski się ulotnił. Miał nadzieję, że na Lubelszczyźnie będzie nie tylko pełnił funkcję juniora. Wierzył, że będzie częściej pojawiał się na torze. Konkurencja w Motorze jest jednak ogromna, więc 19-latek szybko zrozumiał, że jeżeli Polonia awansuje, będzie chciał do niej wrócić. Był już dogadany z klubem, podobnie jak kolejnych kilku zawodników, którzy mieli walczyć o play off ekstraligi. Przyjemski przegrany finał z przyjezdnymi z Rybnika oglądał podobno ze łzami w oczach.

Warto zaznaczyć, że Polonia od kilku lat celuje w awans. Zapewne takie same ambicje będzie miała w przyszłym sezonie. Problem polega na tym, że będzie to bardzo trudne do zrealizowania. Do 2. ekstraligi spadła Unia Leszno, która zbroi się, żeby błyskawicznie powrócić na swoje miejsce w elicie. Będzie dysponowała lepszą kadrą od bydgoszczan i zapewne znów zakończy się porażką.

Powinni się wstydzić!

W środowisku rybnickim panuje natomiast wspaniała atmosfera. Tak przynajmniej było już po zakończeniu spotkania w Bydgoszczy. Euforia zawodników, trenera i całego klubu, wraz z prezesem Krzysztofem Mroz-kiem, była wyrazem tego, jak bardzo drużyna chciała zrobić na złość tym, którzy w nią nie wierzyli. W końcu nawet po zwycięstwie z Polonią u siebie dziesięcioma punktami trudno było znaleźć osobę, która byłaby pewna awansu „Rekinów" do ekstraligi. Ci jednak na stadionie Polonii godnie bronili swojej przewagi z pierwszego meczu. Zabłysnął przede wszystkim Rohan Tungate, który po trzech biegach znalazł odpowiednie ustawienia motocykla i poprowadził drużynę do sukcesu. – Ci wszyscy, którzy na nas pluli, powinni się teraz wstydzić albo ugryźć w język – powiedział Krzysztof Mrozek na antenie Canal+. Widać więc było, że krytyka tylko napędzała ROW, który chciał sprawić psikusa pewnym siebie bydgoszczanom. Polonia jeszcze przed startem meczu rewanżowego przygotowała specjalny namiot przy parku maszyn, w którym miała odbywać się feta z okazji awansu po 11 latach. Po zakończeniu zmagań to miejsce powinno zostać udostępnione... rybnickiej delegacji.

Czas na transfery

Zagadką ROW-u pozostaje teraz skład na ekstraligę. Klub ma doświadczenia z 2019 roku, gdy po awansie nie udało mu się zbudować kadry, która zapewniłaby utrzymanie. Rok po awansie „Rekiny" zaliczyły spadek. Teraz Krzysztof Mrozek chce zrobić wszystko, żeby scenariusz się nie powtórzył. Dlatego od razu po zwycięstwie w Bydgoszczy zaczął namawiać Brady'ego Kurtza (najlepszy zawodnik 2. ekstraligi ze średnią 2,402), który był już dogadany na transfer do Sparty Wrocław, do pozostania na Górnym Śląsku. Australijczyk ostatecznej decyzji jeszcze nie podjął. Plotki głoszą, że na razie pewny miejsca w rybnickim składzie jest RohanTungate. Prezes ROW-u zapewnia jednak, że już wcześniej pracował nad koncepcją budowy zespołu po ewentualnym awansie. Na razie jednak konkretnych oficjalnych informacji w tej sprawie brakuje. Więcej o transferach będziemy dowiadywać się z upływem czasu. Okno transferowe otwarte zostanie dopiero w listopadzie.

Kacper Janoszka

W pełnym skupieniu

Dziś Sparta Wrocław powinna awansować do finału PGE Ekstraligi.

W sobotę Maciej Janowski wystąpił w finałowej rundzie Tauron Speedway Euro Championship. Władze Sparty Wrocław, której „Magic" jest reprezentantem, z pewnością wstrzymały oddech, gdy reprezentant Polski upadł na tor w 9. wyścigu. Powtórki pokazały, że zahaczył ręką o tylne koło Jacoba Throssella. Dłoń 33-latka zablokowała się między kołem a błotnikiem. Sytuacja wyglądała dramatycznie i zwiastowała poważną kontuzję. Janowski od razu został zabrany do szpitala, ale szczęśliwie badania nie wykazały złamań.

Sparta mogła odetchnąć z ulgą. W końcu wrocławski klub będzie potrzebował umiejętności i doświadczenia Janowskiego już dziś, w rewanżowym meczu półfinałowym przeciwko Stali Gorzów. Choć początkowo poinformowano, że żużlowiec będzie potrzebował czasu na rehabilitację, oficjalna strona Grand Prix podała już, że w najbliższą sobotę Janowski będzie toczył bój w cyklu indywidualnych mistrzostw świata. Można więc wywnioskować, że jest w pełni sprawny i gotowy także do rywalizacji ligowej. Został zresztą wpisany do awizowanego składu na rewanż z gorzowianami.

Półfinałowy rewanż ze Stalą miał odbyć się wcześniej, ale z powodu powodzi, która nawiedziła województwo dolnośląskie, rywalizacja musiała zostać przełożona, na 25 września.

W pierwszym meczu tych drużyn, który odbył się w Gorzowie, Sparta poradziła sobie bez zarzutu i wygrała 46:44. Gorzowianie staną więc przed niezwykle trudnym wyzwaniem. Odrobienie strat na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu może okazać się nieosiągalne. W tym sezonie jeszcze żadnemu z zespołów nie udało się urwać Sparcie punktów na jej terenie. Mimo wszystko zawodnicy Dariusza Śledzia nie wybiegają za bardzo w przyszłość i z pokorą podchodzą do dzisiejszego rewanżu. – Jestem zadowolony z tego, że wygraliśmy dwoma punktami na wyjeździe. Musimy jednak utrzymać stuprocentowe skupienie, bo nie ma już łatwych meczów, niezależnie od tego, czy jedzie się na wyjeździe, czy u siebie. Musimy walczyć o to, żeby wygrać dwumecz – powiedział Bartłomiej Kowalski. Jeśli wrocławianie będą prezentowali taki poziom, jak przez całą poprzednią część sezonu, będą cieszyć się z awansu do finału i rywalizacji o złoto z Motorem Lublin.

Kacper Janoszka



Fot. Marcin Karczewski/PressFocus

Niebezpieczny upadek Macieja Janowskiego nie skończył się poważną kontuzją.

PÓŁFINAŁ PGE EKSTRALIGI – REWANŻ

Środa, 25 września
WROCŁAW, 19.00: Betard Sparta – ebut.pl Stal Gorzów
Wynik pierwszego meczu 46:44
Sędzia Arkadiusz Kalwasiński

Sport 947512eaad

Rozstrzygnięcia na Lisiej Polanie

Alejandro Pedryc, który w tym roku przeszedł na zawodowstwo, zwyciężył w turnieju PGA Polska Championship by Nobu Hotel Warsaw i został triumfatorem rankingu PGA Polska Tour.

Zwycięzca w dogrywce pokonał jeszcze młodszego zawodowym stażem Marcina Bogusza, który tak jak on po dwóch rundach zanotował rezultat -1. Trzecie miejsce z wynikiem +1 zajął Słoweniec Mark Trnovec. Pięć uderzeń więcej potrzebował zajmujący 4. miejsce Litwin Juozapas Budrikis i Polacy – Adrian Kaczała, Mark Bednarczyk oraz Mateusz Jędrzejczyk. W klasyfikacji Stroke Play netto triumfował Andryi Popereka, drugie miejsce zdobył Michał Mazurek, a na trzeciej pozycji uplasował się Stanisław Bontemps. Turniej główny poprzedziły rozgrywki Pro-Am, w których najlepsza okazała się ekipa Adriana Kaczały w składzie: Magdalena Kado, Jacek Pieńczak i Rafał Kosmulski. Drugie miejsce zdobyli Kamil Tatarczuk, Andryi Popereka, Piotr Bobkiewicz i Krzysztof Bobkiewicz, a na trzeciej pozycji uplasowali się Oskar Zaborowski, Artur Wiza, Hugo Wiza i Michał Ligocki, którego drugą pasją po snowboardzie jest właśnie golf.


Fot. Marek Darnikowski

Alejandro Pedryc triumfował w Pomiechówku.

Dogrywkowy wyjadacz

Była to już trzecia tegoroczna dogrywka Alejandro Pedryca na krajowym podwórku. Mało tego, każdy turniej PGA Polska Tour nad Wisłą z jego udziałem kończył się na dodatkowych dołkach. Najpierw w czerwcu przegrał z Kamilem Tatarczukiem z Naterek, podczas Floating Garden Szczecin Open. Tam potrzebne były dwa dołki. Później pod sam koniec lipca triumfował w Jet Story Race to Rosa Final, trafiając birdie na pierwszym greenie i pokonując wracającego do akcji po epopei z kolanem – Maksa Saludę. Teraz rozstrzygnięcia były również błyskawiczne: „Tak, to była moja trzecia dogrywka w trzech turniejach. Przebieg był krótki, a wszystko rozstrzygnęło się na pierwszym dołku. Zagrałem bardzo dobrego drive'a, a potem superpitcha na jakieś dwa metry od flagi. Emocje były jak zawsze. Lubię grać dogrywki, lubię, jak ludzie zbierają się, żeby je oglądać, to mnie motywuje".

Mimo niedługiego stażu ma już całkiem sporo występów jako profesjonalista, w tym przejście cuta na Challenge Tour, dwie wygrane nad Wisłą i zwycięstwo w rankingu PGA Polska Tour, przed Kamilem Tatarczukiem i Mateuszem Kniagininem. Pytany, jak czuje się w tej roli i czym różnią się występy jako zawodowiec i jako amator, depeszował: „Czuję się dobrze, zawsze chciałem grać zawodowo i czuję duże wsparcie, nie tylko ze strony rodziny, ale też ludzi, którzy to śledzą. Wygrana rankingu to nie był jakiś mój cel, ani plan, ale na pewno jest to fajny bonus. Nie odczuwam zbyt dużej różnicy między byciem amatorem i zawodowcem. To, co jest tu rzeczywiście istotne, to fakt, że teraz popłaca agresywne granie i staranie się o trafianie wielu birdie. Dużo więcej jest warte ukończenie turnieju w czołówce nawet raz niż przechodzenie prawie wszystkich cutów, kiedy ma się taką kategorię jak ja. Myślę, że bardzo dużo nauczyłem się w tym sezonie i jestem z tego bardzo zadowolony. W tym roku planuję występ w pierwszym etapie Q-School, w duńskim Horsens Golf Club, od 24 do 27 września, a potem jeszcze jeden Challenge Tour, w Czechach, na początku października".

Drugi raz

Marcin Bogusz dość niespodziewanie zmienił swój status, decydując się na przejście na zawodowstwo tuż przed turniejem Rosa Challenge Tour, który odbył się na przełomie sierpnia i września w Rosa Golf Club, w Konopiskach pod Częstochową. Podczas swojego zawodowego debiutu, kiedy Challenge Tour po niemal piętnastu latach wracał do Polski, Marcin po trafieniu w piątek birdie na dziesiątym dołku był potencjalnie jedną z ostatnich szans polskich kibiców na przejście tam cuta. Niestety jego pogoń zakończył bogey na piętnastce i +3 na ostatnim dołku, kiedy, znając sytuację, walczył o birdie.

Teraz również nie miał najlepszej końcówki, grając pierwsze piętnaście dołków rundy finałowej na -6, a ostatnie trzy na +6, co zamiast zwycięstwa dało mu miejsce w dogrywce z Alejandro. „Dla mnie dogrywka była dosyć ekscytującym momentem. Skłamałbym, mówiąc, że na to czekałem, ale emocje, które mi towarzyszyły, są dosyć trudnym elementem do odtworzenia podczas treningów. Alejandro zaczynał, obaj zdecydowaliśmy się na grę driverem z tee. Zagraliśmy w tej samej linii, ale niestety wystartowałem moją piłkę trochę za nisko, przez co trafiłem w małą gałąź, straciłem mocno na dystansie, a piłka leżała w niezbyt ciekawej pozycji. Zostało mi około 90 metrów do flagi i zagrałem na sześć stóp od flagi. Wykonałem putta trochę za słabo i minąłem dołek po niższej stronie, zostawiając Alejandro szansę na zwycięstwo w turnieju".

Spokój

Marcin, pytany o wrażenia ze swojego debiutu na Challenge Tour, relacjonował: „Dostałem ogromną szansę od firmy Lisec na zagranie w turnieju Challenge Tour. Trzy dni przed startem, 26 sierpnia, przeszedłem na zawodowstwo, ponieważ uznałem, że to już czas i chcę wystąpić na Rosie jako profesjonalista. Wiedziałem, że mam umiejętności i jestem przygotowany na rywalizację z bardzo dobrymi zawodnikami. Nie wiedziałem, jak szybko będę miał okazję zagrać ponownie w turnieju tej rangi, więc chciałem wyciągnąć z tego wyjątkowego doświadczenia tyle, ile tylko się da. Przyjechałem trzy dni przed turniejem i na początku towarzyszyło mi trochę stresu, bo niby to ten sam sport, ale atmosfera jednak zupełnie inna. Po krótkim czasie od przyjazdu na Rosę dotarło do mnie, że na to pracowałem, że zacząłem spełniać marzenia i poczułem duży spokój. Wychodząc na rundy turniejowe, moim celem była konsekwentna realizacja wcześniej przygotowanej strategii i pełne skupienie na pojedynczych zagraniach. Grało mi się dobrze jak nigdy dotąd, był to mój pierwszy zawodowy turniej, a w dodatku mój brat Bartosz zgodził się być moim caddym, więc wtedy nic więcej do szczęścia nie potrzebowałem. Finalnie zanotowałem rundy 71 oraz 74, przy czym doprowadziłem do sytuacji, w której musiałem atakować na ostatnim dołku, żeby przejść cuta, co na koniec dnia się nie udało. Z jednej strony, pod względem wynikowym byłem mocno rozczarowany, bo pojechałem tam walczyć o najwyższe miejsce, a wyszło jak wyszło. Z drugiej, jestem zadowolony ze swojej postawy, walki i determinacji. Popełniłem kilka błędów taktycznych i technicznych. I o te kilka błędów było za dużo. Mój drugi występ w zawodowym turnieju był już bardziej owocny, grałem bardzo solidny golf, co przełożyłem na dobre wyniki. Zająłem drugie miejsce, przegrywając z Alejandro, który na koniec dnia okazał się lepszy".

Prawie dwieście

Jeszcze niedawno amator reprezentujący OUR Golf Club, teraz postanowił wspiąć się na kolejny szczebel kariery. Pytany o swoje trzy największe sukcesy amatorskie i plany zawodowe, odpowiadał: „Jako amator stawałem na podium niecałe dwieście razy, ale gdybym miał wybrać trzy najważniejsze starty, to zdecydowanie byłoby to mistrzostwo Litwy, które było swego rodzaju kamieniem milowym mojej gry. Drugim turniejem były drużynowe mistrzostwa Europy Dywizji 2, na których zdobyliśmy z kadrą Polski brązowy medal. To też było niezapomniane przeżycie, ponieważ mogliśmy zdobyć brąz, reprezentując nasz kraj jako drużyna. Natomiast najważniejszym startem były indywidualne mistrzostwa Europy rozgrywane w Danii. Nie zająłem zadowalającej mnie lokaty, ale zrobiłem coś ważnego, mianowicie pokazałem samemu sobie, że potrafię grać i jestem gotowy rywalizować z każdym. Na koniec tego sezonu mam plan wystartować jeszcze w jednym turnieju. Potem przejdę do przygotowań pod następny sezon. Teraz najważniejsze będzie zebranie odpowiednich funduszy, aby gra w turniejach była możliwa. Co do przyszłego sezonu jeszcze nie zdradzam szczegółów, ale na pewno będzie co oglądać".

Prezes podsumowuje

Mistrzostwa były wręcz idealną okazją do poproszenia o garść refleksji i podsumowań prezesa PGA Polska, Piotra Owczarka, który pełni tę funkcję dopiero od początku roku: „W dużym skrócie – sądzę, że tegoroczny cykl PGA Polska Tour był bardzo udany. Zarówno pod kątem sportowym, jak i organizacyjnym. Sportowo, bo udział wzięło wielu amatorów i zawodowców z kraju i zagranicy, między innymi z Czech, Słowenii, Litwy czy Węgier. Cieszę się, że finał i cały cykl wygrał Polak, członek PGA Polska, Alejandro Pedryc. Jest to wciąż młody i bardzo perspektywiczny zawodnik, z którym wiążemy duże nadzieje. Jeśli chodzi o aspekt sportowy, po raz pierwszy w tym roku najlepsi amatorzy mogli rywalizować z zawodowcami o nagrody pieniężne. To także, oprócz cennych nagród rzeczowych, podnosi atrakcyjność turniejów i chcemy to kontynuować w przyszłym roku. Dobrą organizację zawdzięczamy natomiast znakomitej kadrze i partnerom - dyrektorce turniejów Angelice Eratowskiej, sędziom, greenkeeperom i oczywiście właścicielom pól: Rosa, Gradi, Kalinowe Pola, Lisia Polana i Binowo Park. Cały cykl nie odbyłby się też bez sponsorów. W tym roku były to bardzo prestiżowe marki, które chcemy utrzymać na przyszłe lata i którym również serdecznie dziękuję za tegoroczną współpracę. Zapraszam wszystkich golfistów na przyszłoroczny cykl, a także na dodatkowy, tegoroczny turniej, który odbędzie się w październiku na polu Wrocław Golf Club".

Kasia Niecziak



Fot. Marek Darnikowski

Prezes PGA Polska, Piotr Owczarek i zawodnicy z podium turnieju finałowego.